

Śmierć w lunaparku

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

str. 6

Nr indeksu 36762

PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 32 (1532)

ROK XXX

8 SIERPNIA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Wschodnia sztuka życia i kochania — str. 4
- Bardzo brudna sprawa w Palczewie — str. 5
- Pieriestrojka wyszła także na ulicę — str. 12
- Dalsze losy Fiodora Raskolnikowa — str. 13
- „Dzieci Arbatu” — str. 10



Foto: Konrad Turowski



Foto: Grzegorz Gałasiński

Czym się kończy wypoczynek?

MAREK KOPROWSKI

„Krupówkami kerdle luda
jako powódź idom
cyrniawa narodu...
syłka wydzajani
w terażniejsze mody
z Krakowa
spacerują pany
tam i nazod...”

Ten prosty góralski wiersz Bogdana Wero-

na, w sposób bardzo obrazowy maluje wygląd głównej ulicy Zakopanego w środku letniego sezonu. Lipcowe słońce wyciska ze spacerującego tłumu wiadra potu, ale nie zmusi do pójścia gdzieś w las, góry czy nad rzekę. Dla większości sezonowych gości urlop w Zakopanem oznacza całodzienny pobyt na Krupówkach. Chodzą w górę i w dół wśród setek sobie podobnych, wśród kurzu, pyłu i smrodu i — co widać aż nadto wyraźnie — sprawia im to przyjemność.

PRZYJECHAŁEM POD GIEWONT

Wpół do piątej rano pociągiem pospiesznym z Łodzi, nawet bez tłoku, a w hotelu zakwaterować się mogłem dopiero po 14.00. Miałem więc dużo czasu na obserwację. Siedziałem kilka godzin na ławce przy Krupówkach właśnie i gapiłem się na ludzi, bo ten, zakopiański rodzaj wczasowiczów i sposób spędzania przez nich urlopowego czasu zdumiewa mnie już od wielu lat. Po godzinie rozróżniałem niektóre twarze, po pięciu godzinach poznawałem już wiele osób, a po ośmiu czułem się tak, jakbym był tu od dawna i znał większość paradykujących przed moją ławką. Paradykujących — to odpowiednie słowo, bo ci ludzie w ten właśnie dostojny sposób — krocząc, a nie idąc — przemieszczają się z miejsca na miejsce. Przechodząc wielokrotnie, niektórzy i mnie przyglądali się z niejakim zdziwieniem, dlaczego gniotę ławkę od tyłu godzin, a nie odprawiam rytualnego spaceru w nieskończoność. Obsadła mnie w pewnym momencie grupa matola-tów i, częstując miętowym cukierkiem, właśnie o to zapytała najodważniejsza z nich dziewczyna. Odpowiedziałem — i ja z kolei zadałem pytanie, dlaczego oni tak uparcie chodzą w tę i z powrotem. Ustyszałem, że nie mają co robić, nudzą się, a dyskoteka dopiero od siedemnastej.

— A w górę? — odpowiedziałem. Zaczeli chichotać, patrząc na mnie z rozba-wieniem, zerwali się z ławki i poszli. Widziałem ich jeszcze wielokrotnie, idących to w jedną, to w drugą stronę. I w dalszym ciągu nie wiem, na czym to polega, co sprawia, że kolejne pokolenia Polaków idociele w Zakopanem i włączają się dobrowolnie w Krupówkowy korowód, spędzając dni całe w rytmie zegarowym, wahadła: w lewo — w prawo, w lewo — w prawo, w lewo...

Jednakowi sposobem spędzania czasu, różni się, co oczywiste, ci wytrwali chodzącyze wyglądem. Niektóre kobiety, a i dziewczyny od samego rana noszą się wieczorowo. I największy upał nie zmusi ich do zrzucenia czar-nych (modny kolor) kreacji. Wiadomo, że dla zadania szuku niewiasta jest zdolna wiele wy-cierpieć — i potwierdza się to „jak najbardziej na zakopiańskim deptaku. Sporo osób (bo i panowie również) przebierało się kilka razy dziennie, wzbudzając mój nieklamany po-dziw, gdyż do ścigania ciuchów w ciągu dnia mogłaby zmusić mnie i tylko jakaś atrakcyj-na dziewczyna. A prezentowanie (komu i dla-czego?) trzech par spodni i pięciu koszul tyl-ko dlatego, że je mam — co to, to nie — na taki pokaz nikt by mnie nie namówił. Jednak tych krupówkowych modeli (i modeli) nikt nie musi namawiać, przebierają się z własnej woli — i to jest najdziwniejsze. A może mu-szą? — różne choroby trapią przecież ludzi.

Największa różnorodność panowała w dzie-dzinie krótkich spodni. Nie widziałem dwóch takich samych spośród kilku tysięcy opinają-cych od pasa w dół ciała urlopowiczów. Np. pierwsza z brzegu rodzinka: synek w wąskich kraciastych do kolan, córka nosi szerokie port-ki do poł uda z mankietami, mama króciutkie, że ledwie pupa zakryta, a tata w fałszowanych spodenkach firmy Adidas, pomarszczonych w kroku i wiewających jak chorągiewki wokół chudych odnóży.

Wydaje się jednak, że Zakopane pospolicieje. Choć dawna tradycja szpanu trwa mocno jako zjawisko, w wykonaniu dzisiejszych bywalców jest karykaturalna i groteskowa. Dziś na Krupówki przyjeżdżają „średnie pieniądze”, a te wielkie, które tutaj kiedyś królowały, wyjeżdżają latem na Łazurowe Wybrzeże, Major-kę lub Sycylię. Fakt, że te średnie pieniądze napędzają wielki szmal miejscowym, ale to nie zmienia faktu, że „wielkich pieniędzy” już się nie widzi. Zapłacenie 3000 zł za kurs do-rożką od Ronda do dolnej stacji kolejki na Kasprowy w Kuźnicach (ok. 1,5 km) to nie-mało. Ale z drugiej strony, co to jest dzisiaj 3 tysiące?

ZAKOPANE POSPOLICIEJE

nie tylko w „sferze pieniądza”. Oto co napi-sała o tym mieście Jadwiga Roguska-Cybulska w „Księdze Pamiątkowej” poświęconej Stanis-ławowi Ignacemu Witkiewiczowi, bez wątpie-nia najwybitniejszemu zakopiańczykowi:

„Zakopane, noszące dawniej miano letniej stolicy Polski, od najdawniejszych lat swego istnienia przyciągało na stały lub czasowy pobyt wiele jednostek niepospolitych, cieszących się rozgłosem w kraju, a nawet wszechświato-wą sławą. Zanim weszło ono na nową drogę rozwoju, jako całoroczne uzdrowisko i polska stacja sportów zimowych, ściągala tu wyłąc-znie podczas lata ze wszystkich trzech dzielnic Polski całą niemal elitę umysłową i artystycz-na. W okresie rozbiorów, gdy władze w naszej Ojczyźnie dzierżyli zaborcy, naród polski poza paroma jednostkami nie posiadał warstwy dy-nitarzy, bogacze woleli korzystać z uzdrowisk zagranicznych; ziemianie zaś spędzali zawsze lato w swoich majątkach; a szerokie masy pracowników fizycznych nie miały jeszcze do-stępu do takich przywilejów, jak wyjazd na wypoczynek lub kurację. Toż ton letnim sezonem Zakopanego nadawała owa smietanka intelektualna, co stwarzało specyficzną atmosferę dla sezonowych gości składających się przeważnie z rozmiłowanej w Tatrach i góralszczy-

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Grzegorz

Gazda

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzewska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałasiński

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki,

Bohdan Gadowski, Jacek

Głębski, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Marek Mamos, Zenon

J. Michalski, Ryszard

Nakonieczny, Adam

Ochocki, Jerzy Panaszewicz,

Karol J. Strzyński, Maciej

Swierkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa —

Książka — Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

wonoi 23.

Redakcja nie zwraca nie

zamówionych reklamów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

Instytucji i zakładów pracy —

złokalkowane w miastach woje-

wódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucje i zakłady pracy

złokalkowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli 2

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamiesz-

kałe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli

osoby fizyczne zamieszkałe

w miastach — siedzibach Odd-

ziałów RSW „Prasa — Książ-

ka — Ruch” opłacają prenume-

ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawczo-oddawczych

właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratę Wnioskę do-

konuje się używając blankietu

„wpłaty” na rachunek bankowy

miejscowego Oddziału RSW

„Prasa — Książka — Ruch” 3

Prenumeratę ze zleceniem wysył-

ki za granicę przyjmuje RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

Centrala Kolportażu Prasy i

Wydawnictw ul. Towarowa 28

00-958 Warszawa konto NBP XV

Oddział w Warszawie nr 1153-

201045-139-11 Prenumerata ze

zleceniem wysyłki za granicę

poczta zwykła jest droższa od

prenumeraty krajowej o 50 proc

dla zleceniodawców indywidual-

nych i o 100 proc. dla zlecają-

cych Instytucji i zakładów pra-

cy. Terminy przyjmowania pre-

numerat na kraj i za granicę —

do dnia 10 listopada na I

kwartał i półrocze roku nastep-

nego oraz cały rok następny —

do dnia 1. każdego miesiąca —

poprzedzającego okres prenume-

raty roku bieżącego.

Zam. 3285. H-10.

Przegląd prasy

Coraz większe uznanie na świecie zdobywa powieść Anatolija Rybakowa „DZIECI ARBATU”, którą z polskich czasopiśm publikują tylko „Odgłosy” i będą jeszcze drukować przez kilka miesięcy. W najnowszej „POLITYCE” (nr 31) Anna Żebrowska rozmawia z autorem dzieła. Wywiad umieszczono na pierwszej stronie.

Anatolij Rybakow mówi, że w ciągu ostatnich miesięcy odwiedziło go w podmoście filmowe Pieriedielnik 18 zachodnich stacji telewizyjnych. Ponad dwadzieścia krajów nabyło prawa do wydania rewelacyjnej książki o czasach stalinowskich. W tym roku „Dzieci Arbatu” ukaza się w Stanach Zjednoczonych, dokąd pisarz wybiera się na dwa miesiące, w Szwecji i być może w Związku Radzieckim (obecnie drukuje miesięcznik „Drużba Narodów”).

Największe sprzeciwy decydentów i recenzentów budziła postać Józefa Stalina. Natomiast godzono się, żeby bohatera aresztowano i nawet brutalnie przesłuchiowano. Jaka opinia na temat długoletniego przywódcy radzieckiego ma Rybakow?

MÓWI O STALINIE

„Stalin był postacią, która odzwierciedlała wszystkie sprzeczności ówczesnej epoki wielkich zwycięstw i wielkich tragedii. Starałem się go pokazać nie karykaturalnie, jak Solżenicyn, ale obiektywnie, jako działacza państwowego dużej miary, przekonane, iż kroczy do socjalizmu jedyną z możliwych dróg. Człowiek, który potrafił skupić w swych rękach taką władzę, pozbył się wszystkich przeciwników, na 30 lat podporządkował sobie ogromne państwo, nie mógł być prymitywny, ograniczony, nijaki. To osobowość, której wielką zasługą było skierowanie energii narodu na wypełnienie zaiste epokowych zadań. Jednak za ich realizację naród płacił strasznie cenę, cenę życia milionów”.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pisarz przeprowadził wiele rozmów z osobami, które stykały się ze Stalinem. Badał również dostępne dokumenty. Przeglądając archiwum w Baku odkrył, że Józef Stalin darzył cichym sentymentem Polkę — Sofię Leonardownę Piotrowską. Przed wojną Rybakow był skazany na trzyletnie zesłanie. Po odbyciu kary bał się wrócić do Moskwy, ponieważ szalały represje i wybrał tułaczkę po Rosji. Zajmował się różnymi rzeczami: pracował w kolchozach jako kierownik, tańczył w zespole estradowym. Ułatwiała mu życie duża sprawność fizyczna.

Kiedy zdjęto Jeżowa (komisarz spraw wewnętrznych do grudnia 1938 r., którego zastąpił Beria), Rybakow zamieszkał w Riazaniu. I stamtąd wzięto go na front. Otrzymał 20 odznak bojowych. Przeszedł do Berlina przez Polskę. Stacjonował w Białej Podlaskiej, a potem w Łodzi. Dłżył ma „dopiero 76 lat!”. Spodziewa się, że przeżyje jeszcze sześćdziesiąt lat.

„Mam piękną żonę — opowiada — którą bardzo kocham. Odbiliśmy ją jednemu pisarzowi, choć jest on ode mnie 20 lat młodszy. Bez tej miłości nie byłoby ant. „Ciężkiego piasku”, ani „Dzieci Arbatu”. Mam też wspaniałą wnuczkę. I mam swojego czytelnika...”

Sukces międzynarodowy przyniosła pisarzowi już powieść „Ciężki piasek” o życiu i zagładzie Żydów na Ukrainie. Wydano ją aż w 25 krajach — w tym: USA, Anglii, Grecji, Danii, Francji, RFN, Izraelu, Chinach. Ukazała się także w Polsce.

W prasie radzieckiej toczy się ożywiona dyskusja wokół ostatniej powieści Rybakowa. Tygodnik „FORUM” (nr 30) zamieścił przekład artykułu Ołgi Kuczyńskiej z dziennika „Prawda”. Zdaniem autorki, Rybakow przedstawia „System Strachu” — Stalin realizował ambitne zadania za cenę nieśmiertelnych ofiar ludzkich. Na zakończenie pisze:

„Książka „Dzieci Arbatu”

jest autobiograficzna. Przypomina się tu droga życiowa Jurija Trifonowa. Na żywych przykładach najlepiej widać, jakie grzechy przeszłości teraz wypieniamy, do jak trudnego zadania odbudowy ludzkiej godności i myślenia, iniejałny i wiatry w społeczną sprawiedliwość zabrala się nasza partia i cały naród”.

Sygnalizowałem już kiedyś w tej rubryce, że od pewnego czasu na łamach naszych czasopiśm (szczególnie katolickich) pojawiają się dyskusje rozstraszające

PROBLEM ANTYSEMITYZMU

w Polsce oraz Kościele rzymskokatolickim. Zaczęło się to chyba od osławionego filmu Lantzmanna „Soch”. W ostatnim kwartalu „KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO” (nr 1) przypominano artykuł Stanisława Ossowskiego wydrukowany w „Kulturnym” po wydarzeniach kieleckich z 4 lipca 1946 roku. (Nawiasem mówiąc: znakomity reportaż o pogromie w Kielcach opublikował w ubiegłym roku w 11 numerze „Kontrastów” Jerzy Sławomir Mac). Wybitny socjolog pisał między innymi:

„Osoby, które po dłuższym pobycie w Niemczech hitlerowskich wracali do Polski w ostatnich latach przed wojną, stwierdzały, że wśród ludności w Polsce antysemityzm był ostrzejszy i bardziej rozpowszechniony niż w Niemczech, pomimo całej propagandy prowadzonej tam przez rząd i partię. Ale i ten fakt dawał się wyjaśnić bez obciążenia narodowego charakteru polskiego czy polskiej myślości specyficznymi własnościami. W Polsce odsetek Żydów był dziesięciokrotnie większy niż w Niemczech lub we Francji, kilkakrotnie większy niż w Czechach; że zaś równocześnie masę żydowską w Polsce były dalsze od asymilacji kulturalnej, że wyodrębniali się nie tylko wyznaniem, ale i w znacznej części także językiem, sposobem życia, nawet ubiorem, przeto poczucie dystansu było silniejsze, a pałająca zniechęca do Żydów była grupą obcą była w Polsce daleko szersza niż w innych krajach środkowej i zachodniej Europy. W szczególności liczne żydowskie drobniomieszczaństwo małopolskie i wielkopolskie jako konkurent drobniomieszczaństwa polskiego nie miało w tamtych krajach swego odpowiednika. (...)”

Po wojnie przybył jeszcze jeden motyw antysemityzmu, motyw polityczny. Uporczywość sugestii niemieckich u tożsamiających żydostwo z bolszewizmem, sugestii, które miały już w Polsce swoje dawniejsze tradycje, przekonanie, że Żydzi popierają politykę Rządu z obawy przed antysemityzmem, przekonanie, że zajmują liczne stanowiska kierownicze, które pozwalają im bezpośrednio wpływać na politykę, wreszcie dawny obyczaj kwalifikowania wszelkiej akcji radykalnej lub postępowej jako roboty żydowskiej sprawiły, że powojenny antysemityzm skojarzył się z postawą opozycyjną w stosunku do Rządu i w stosunku do przywódcy z Związkiem Radzieckim. Przewidyując człowiek mógłby tedy przepowiedzieć nawet powojenny antysemityzm”.

Prawie cały numer omawianego kwartalnika poświęcony jest problematyce etnicznej. Andrzej Sakson przedstawia dawny i współczesny

STEREOTYP MAZURA

Przed drugą wojną światową ludność etnicznie polską na Mazurach szacowano na 350—500 tysięcy osób. Byli to głównie mieszkańcy południowych powiatów ówczesnych Prus Wschodnich. Zdecydowaną przewagę ilościową posiadali na wsi. Niemcy uważali, że mają oni polski charakter zmodyfikowany przez oświatę, reformację oraz styczność z niemieckimi sąsiadami i niemiecką władzą. Popularne było powiedzenie, że gdzie kończy się kultura, tam zaczyna się Mazur. Nauczyciele posługiwali się określeniem „głupi Polaczek”.

Zaraz po wojnie polska ludność rodzima na Mazurach liczyła 80—100 tysięcy. W 1950 roku stanowiła 18,5 proc. mieszkańców województwa olsztyńskiego, a repatrianci z kresów wschodnich II Rzeczypospolitej (głównie z okolic

Wilna) stanowili 22,6 proc. Pozostała część pochodziła z innych regionów kraju. Znajdowało się tu również 55 tysięcy Ukraińców — przeważnie na północy województwa. Błędna polityka naszych władz i uprzedzenia Polaków z innych stron spowodowały, że nieprzerwanie trwała masowa emigracja Mazurów (głównie do Republiki Federalnej Niemiec). Pozostało dziś zaledwie 10—15 tysięcy, około 10 proc. stanu z końca lat czterdziestych.

W świadomości społecznej Polaków lat osiemdziesiątych Mazur uchodził za człowieka pracowitego, gospodarnego, zapobiegliwego, czystego i posiadającego wysoką kulturę rolną. Podejrzliwość budza ich kontakty z krewnymi w RFN oraz obcość wyznaniowa. Nie podobają się też wytrwałość Mazurów, dostatek wynikający z pracy, brak wylewności i niechęć do burzliwego życia towarzyskiego.

Cechy charakterologiczne Mazurów przydałyby się wszystkim Polakom. Z pewnością nie mielibyśmy wtedy takich kłopotów rozwojowych.

O perspektywach Polski i konieczności sprowadzenia wyzwanu XXI wieku dyskutowano 15 maja w „Krakowskiej kuźnicy”. Pierwsze wypowiedzi publikuje miesięcznik „ZDANIE” (nr 6). Na uwagę zasługują głosy Wacława Wilczyńskiego i Mikołaja Kozakiewicza.

Pierwszy z nich stwierdził, że już w latach 1956—70 pozostawaliśmy w tyle. Epatowaliśmy się wzrostem ilościowym, a tymczasem kraje zachodnie dokonywały jakościowego skoku. W latach siedemdziesiątych próbowałyśmy nadrobić zacofanie technologiczne w warunkach archaicznego systemu ekonomicznego. Nie mogło się to udać. Później trzeba było pokonywać opory środowisk konserwatywnych. Siły postępu i reformy zwyciężyły dopiero teraz.

Mikołaj Kozakiewicz z kolei powiedział, że nie dogoniemy państw zachodnich, dysztans między nami a nimi nie maleje, lecz rośnie. Nie mamy ich poziomu cywilizacyjnego i związanych z tym zagrożeń. W tej sytuacji powinniśmy wypracować

ALTERNATYWNY MODEL ROZWOJU

„Uświelenie mechanicznego naśladowania modelu zachodniego w naszych warunkach — czytamy — musi skończyć się klęską i będzie powodem nieustannej frustracji. Nie chodzi mi wcale o podnoszenie ubóstwa do rangi cnoty, tylko do uruchamiania innych źródeł i odmian bogactwa, które byłoby podstawą do poczucia własnej wartości i dumy narodowej. Nie oznacza to również braku starań o włączenie Polski w orbitę nowoczesności, tylko brak marzeń o pełnieniu w tym wysiłku roli przodującej, czyli wybitnej. Państwo, zdlawione obciążeniami, nie będzie mogło inwestować w nowoczesność w skali masowej. Będzie tego dokonywał wysiłek, w wybranych gałęziach życia (np. obronność, nauka) lub produkcji (np. elektronika). Nasycenie się codziennością nowoczesnością będzie się dokonywać (jak już się dokonują) głównie poprzez kanały prywatne, indywidualne rzutkości i inicjatywy (video, komputery). Pod warunkiem, że nie będzie się tworzyć barier i przeszkód”.

Nowy model rozwoju intensywnie wdrażany jest w Związku Radzieckim. Zmiany zachodzą we wszystkich dziedzinach, także w życiu religijnym. Ciekawe relacje z pobytu na Litwie opublikowali Antoni Tomaszewski w „PRZEGŁADZIE KATOLICKIM” (nr 30) i Maciej Łętoński w „ŁADZIE” (nr 9—10).

Z artykułu M. Łętowskiego dowiadujemy się, że na Litwie żyje 250 tysięcy Polaków, w tym 80 tysięcy mieszka w Wilnie. Polacy stanowią 18 proc. mieszkańców Wilna, Litwini — 48 proc., Rosjanie — 24 proc. W 106 szkołach z językiem polskim uczy się 12 tysięcy dzieci. Nie ma kłopotu z nabyciem polskojęzycznego dziennika „Czerwony Sztandar”. Dobrze słychać i program Polskiego Radia, a w zachodniej części Litwy można nawet odbierać polską telewizję.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Źródła mocy

W poprzednim swoim komentarzu, odwołującym się do telewizyjnego sprawozdania z wizyty polskiej delegacji partyjno-rządowej w Japonii, uświelenie odpowiedzi na pytanie: „Jak też oni (Japończycy) to robią, że dystansują pod względem efektywności pracy najbardziej rozwinięte kraje kapitalistyczne, u których feudalna, samurajska Japonia zaczęła przecież pobierać nauki nowoczesności przed niespełnia wiekiem”. Nie tylko wresztą u nas utrzymuje się fascynacja japońskim fenomenem i nie tylko my chcielibyśmy posiadać tajemnicę oszałamiających sukcesów tego odległego narodu.

Zdaje sobie jednak sprawę, że czytelnicy mojej publikacji nie mogliby stać się po jej lekturze mądrzejsi niż byli przedtem, nie zdołałem bowiem wyjść poza opis zachowań i codziennych praktycznych motywacji postępowania Japończyka, nie dotarłem więc do sedna sprawy, do psychicznych, moralnych źródeł mocy i odporności. Wydaje mi się, że właśnie jednym lakonicznym zdaniem, wypowiedzianym przed naszymi kamerami, nazwał je, biorący udział w japońskiej podróży, Wiesław Górnicki.

Ten znakomity publicysta, którego pamiętamy m. in. z niezwykle wnikliwych obserwacji postaw życiowych mieszkańców USA czy RFN, upatruje źródło wewnętrznej siły Japończyków, ich zdolność do stawiania czoła wyzwaniom współczesnej cywilizacji, w silnie zakorzenionej skłonności Japończyków do kultuowania rodzimych tradycji i narodowego obyczaju, słowem — w umiejętności zachowywania narodowej tożsamości.

To ujęcie sprawy powinno być dla nas, Polaków, zrozumiałe i bliskie, ileż to bowiem stron na temat owej tożsamości zadrukowali nasi publicyści, ile godzin przegadano o tym w nocnych Polaków rozmowach, ile zwłaszcza obaw wypowiada się mniej czy bardziej pochopnie o zagrożeniach czyhających nieustannie na nie skazaną jeszcze żadnymi obcymi wtrętami, arcyjapońską tożsamość narodową.

Jeśli piszę o tym z pewnym przekasem, to dlatego, że odnoszę wrażenie, iż nawoływaniom do nieustannego pogotowia dla ratowania narodowej tożsamości przed jakimś „paskudnym” silem, towarzyszy często bezkrytyczna aproba dla konserwatywnych tradycji historycznych i zacofania obyczajowego, toteż owa tożsamość jawi się niektórym w dewocyjno-dekoracyjnym kształcie. A przecież w wypowiedzi Wiesława Górnickiego, którą tu całkiem dowolnie rozwijam, wyczuwa się sens odmienny, że mianowicie ten rodzimy model prywatnego życia wytwarzać może aurę psychicznego odprężenia, regenerującą siły i energię do walki z nieuniknionymi napięciami, stanowiącymi koszt uboczny przyswajania sobie nowoczesnej cywilizacji z całym jej dobrodziejstwem w postaci wysokiego tempa życia i pracy oraz rygorystycznej dyscypliny społecznej.

Obawiam się, że niezbyt wielu Polaków skłonnych jest pojmoować rolę narodowej tożsamości jako azylu psychicznego i jako remedium na schorzenia cywilizacyjne współczesności, bo też, po prawdzie, tak bardzo nam one jeszcze, mimo wdrażania reformy gospodarczej, dotychczas nie grożą. Pewnie więc chodził nieraz ludzom o to, żeby model życia publicznego, zamiast trzeźwą rzeczowością nacechowany być miłym ciepłem prywatności, dającym sposobność do pogaduszek przy spokojnie sączonej herbatce, żeby też pożył sobie bez pośpiechu i gonitwy, pod osłoną jak największej liczby świat państwowych i kościelnych. W rejonach prywatnych natomiast holdujemy standardowym treściom rozrywkowym kosmopolitycznego obiegu (od jak dawna już przestało się śpiewać piosenki „Mazowsza” i „Śląska”). Nasz styl życia modeluje zachodni film komercyjny, w którym na ogół nie wiadomo, czy i gdzie kto pracuje, a każde spotkanie towarzyskie zaczyna się od pytania: „Co pan będzie pił?”. A powinno nam chodzić o to, żebyśmy byli jednocześnie otwarci na świat i mieli własne oblicze.

Wyobrażam sobie, że dla Japończyka narodowa tożsamość — jako remedium na nerwice i stresy — musi być sprawą ogromnie serio, gdyż zagrożenia kulturowym i obyczajowym uniformizmem są tam z pewnością rzeczywiste i chyba rozpoznawane zgodnie z ich geograficznym kierunkiem.

A więc i pod tym względem daleko jest od nas do Japonii.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Co działo się w Sopocie podczas konkursu finałowego „Miss Polonia 87”? — reportaż ROMANA KUBIAKA oraz fotoreportaż GRZEGORZA GAŁASIŃSKIEGO.

— Dalszy ciąg frapujących przygód ADAMA OCHOCKIEGO w Azji, który po wyjściu z obozu pracy przymusowej, znalazł się na wolności. Czy na długo?

— Pod względem komunikacyjnym Łódź siedzi jak żółw w skorupie — pisze w krytycznym artykule JAN BABIŃSKI.

— Krzew winorośli pojawił się tu przed tysiącami lat... — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO z Mol-dawii.

— Zwyczajnie, wziął i sprzedał mieszkanie razem z legalną żoną i wspólnym dzieckiem w środku... — reportaż JOLANTY WROŃSKIEJ.

— W jaki sposób odbywało się wysiedlanie Polaków i Żydów z okupowanej Łodzi? — artykuł PAWŁA DZIECIŃSKIEGO.

— Osiem lokali rządzącej partii w gruzach i wszystko w normie... — korespondencja RYSZARDA NAKONIECZNEGO z Peru.

— Pierwsze dni, tygodnie i miesiące w Dachau — wspomnienia WŁODZIMIERZA SKOCZYŁASA.

— MARINA VLADY opowiada o swoim życiu z WŁODZIMIERZEM WYSOCKIM.

— Kolejne odcinki rewelacyjnej powieści ANATOLIIA RYBAKOWA pt. „Dzieci Arbatu”.

Jak tu związać zerwaną nić historii?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1. Było to dawno. Być może już nie wszyscy pamiętają, że przed 1975 rokiem Wielką Łódź otaczał powiat łódzki i że istniało wówczas wielkie województwo łódzkie. Wielkie w odróżnieniu od obecnego — małego. I powiat łódzki, i ówczesne województwo łódzkie nie posiadały swojej stolicy. Władze powiatowe i wojewódzkie korzystały z gościny Łodzi, która sama w sobie była województwem. Przy alei Tadeusza Kościuszki, polową gmachu partii — tę od południa — zajmował Komitet Wojewódzki PZPR, a drugą — tę od północy — Komitet Łódzki. Wojewódzkie władze administracyjne miały swoją siedzibę w pałacu I. K. Poznańskiego, gdzie dziś mieści się Muzeum Historii Miasta Łodzi, a powiatowe przy ul. Piotrkowskiej. Niby wszystko było pięknie i po sąsiedzku, ale w istocie toczyła się cicha rywalizacja.

Pamiętam, jak ówczesny I sekretarz KW PZPR w Łodzi — Stefan Jędrzejczak — wybrał się z jakiegoś powodu do Zgierza i zobaczył z niejakim przerażeniem, iż Zgierski Kurak zbliżył się do granic Łodzi. Zaraz potem wyznaczono Parzęczewską w Zgierzu, gdzie rozwój miasta szedł w zupełnie innym kierunku. A wszystko po to, aby przypadkiem ktoś nie wpadł na pomysł i nie połączył Wielkiej Łodzi z wielkim łódzkim województwem.

W 1975 roku, gdy dokonano reformy w podziale administracyjnym kraju, wielkie łódzkie województwo podzielono, a Wielką Łódź poszerzono o swoje granice i tak powstało województwo łódzkie. Nie było już powiatu i województwa bez stolicy, a ludzie — jak to określiła Wanda Kolba — „pojechali na przysmusową emigrację”. W rok później przestały istnieć ZMS i ZMW. Połączyły się i tak powstał ZMSP.

Maksymilian Salaciński został wówczas bez pracy.

— Mielśmy być rezerwą kadrową partii, a okazało się — mówi — że trzeba było szukać pracy w „pośredniaku”. Ówczesne kierownictwo KM PZPR w Pabianicach jakoś nie zainteresowało się o los działaczy ZMS, którzy mieli być dla nich rezerwą i musieliśmy poszukać sobie pracy w Łodzi. Nie udało.

Było województwo bez stolicy, były organizacje, instytucje, pracowali w nich ludzie i nagle wszystko się skończyło. Ludzie przeszli do innej pracy, poszukiwali dla siebie miejsca w życiu. Niektórzy trwali do dość długo. Pourządzało się. Ale przecież chcieli, aby nadal trwał ślad ich tamtej, przekreślonej nagle pracy. Maja do tego prawo.

Przyszedł do mnie Jerzy Kałużka i powiedział, że na wystawie poświęconej 30-leciu ZMS w Łodzi bardzo mało miejsca poświęcono organizacji wojewódzkiej ZMS. A przecież obaj razem pracowaliśmy niedługo w KW ZMS w Łodzi. Mieścił się wówczas Komitet Wojewódzki ZMS na piątym piętrze wojewódzkiej części gmachu partii przy al. Tadeusza Kościuszki.

— No, to może byśmy się tak spotkali ze starymi kolegami i przypomnieli sobie dawne dzieje — zaproponował.

— No, to może...

I spotkaliśmy się.

2.

Trzeba wszakże przypomnieć kilka faktów już historycznych.

Krytykę ZMP podjął już II Zjazd tej organizacji. Przeżywała ona głęboki kryzys. Usiłowało zaradzić temu ogłaszając 13 listopada 1956 roku „Deklarację o potrzebie jedności”. Spowodowane to było kryzysem w ZMP z jednej strony, a powstawaniem różnych grup i grupków młodzieżowych z drugiej strony. Dlatego w „Deklaracji o potrzebie jedności” stwierdzono:

„Uważamy, że niezależnie od popełnionych przez ZMP błędów, w organizacji jest wiele myślenia i pragnień działaczy młodzieży. Spośród nich wyróżnił i wyrasta nowy, zdrowy aktyw cieszący się zaufaniem zdobytym dzięki zajęciu odważnej postawy politycznej w przełomowych dla kraju dniach.

Dlatego uważamy, że nie drogą rozwiązania ZMP, ale drogą radykalnego przekształcenia organizacji, drogą zespolenia ujęć wszystkich postępowych grup i tendencji wśród młodzieży, możemy odrodzić ruch młodzieżowy, który stanie się rzeczywistą reprezentacją polityczną młodego pokolenia Polski Ludowej”.

„Deklaracja o potrzebie jedności” nie mogła zmienić sytuacji. Młode pokolenie było podzielone i szukało różnych sposobów na spełnienie potrzeby posiadania własnej organizacji. 5 grudnia 1956 roku Biuro Polityczne KC PZPR przyjęło „Deklarację o zasadach współpracy między PZPR i ZSL”, którą opublikowano 10 grudnia 1956 roku. Stwierdzono tam między innymi:

„Obie partie wypowiadają się za tymi propozycjami młodzieży, które zmierzają do utworzenia organizacji środowiskowych o jednolitej podstawie ideowej, zrzeszonej na zasadach federacji”.

Na V Plenum ZG ZMP, które obradowało 10 i 11 stycznia 1957 roku, dokonano formalnego rozwiązania Związku Młodzieży Polskiej. Z licznych grup i grupków uformowały się trzy nowe organizacje: Tymczasowy Koordynacyjny Związek Młodzieży Socjalistycznej — powołany przez studentów warszawskich uczelni, Rewolucyjny Związek Młodzieży z Józefem Lenartem jako I sekretarzem — powołany w Warszawie i Związek Młodzieży Robotniczej — powołany w Katowicach pod przewodnictwem Wiesława Kieźana. 2 i 3 stycznia 1957 roku doszło do połączenia Rewolucyjnego Związku Młodzieży i Związku Młodzieży Robotniczej — powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej z Józefem Lenartem jako I sekretarzem Tymczasowego Komitetu Centralnego. W kwietniu 1957 roku odbył się I Zjazd ZMS, na którym I sekretarzem KC ZMS wybrano Mariana Renke.

Na III Zjeździe w grudniu 1963 roku zmieniono nazwy: grupy działania zamieniono na koła, komitety na zarządy.

— To bardzo osłabiło organizację — mówi Ireneusz Ubysz. — Niby to tylko nazwa, ale przecież grupa działania do czegoś zobowiązywała, a koło nie już nie znaczyło. To samo z nazwą instancji. Komitet — nadawał poważny, zarząd — pomniejszał rangę. Odbiło się to niekorzystnie na autorytecie organizacji. Niby nie, nazwa, a miało to swoje znaczenie.

3.

W połowie 1960 roku, ale jeszcze przed wakacjami, Komitet Powiatowy ZMS zainteresował się środowiskiem nauczycielskim. Pracowałem wówczas w Lutomińsku w tamtejszej szkole i po wakacjach miałem się przenieść do Konstancynowa. Telewizja robiła wtedy jakąś dyskusję o postawach ludzi, motywach ich społecznego działania. Trafiłem do tej dyskusji, a wkrótce po tym Jadwiga Pilichowska zaproponowała mi przejście do pracy w Komitecie Wojewódzkim ZMS — miałem być kierownikiem Wydziału Młodzieży Szkolnej. I byłem przez dwa lata. Tak się w moim życiu zaczęła ZMS.

I sekretarzem KW ZMS w Łodzi był wówczas Jerzy Łazarz. Było to dość wysokie stanowisko. Był to drugi I sekretarz po I sekretarzu KW partii i chyba więcej znaczył niż I sekretarz partii w powiecie. Maja więc niewątpliwie rację Ireneusz Ubysz i Edmund Lewandowski, którzy pozornie poprzeczali się o nomenklaturę, a w istocie zgodni byli, że zmiany wprowadzone na III Zjeździe ZMS w grudniu 1963 roku ujemnie wpłynęły na pozycję tej organizacji.

Mówiliśmy sobie po imieniu, ale Jerzy Łazarz bardzo starannie ustanowił dystans, jaki dzielił nas wszystkich od niego. Nie był to zwykły działacz młodzieżowy, jak my wszyscy, ale był to działacz partyjny oddelegowany do pracy w ZMS. Takie sprawy na nas wrażeń i chyba o to mu chodziło. Imponował wiedzą, dyscypliną. Był oschły i wiele wymagający.

Przygotowywałem wtedy wielką naradę opiekunów ZMS w szkole i sekretarzy ZMS w szkole. Tematu już nie pamiętam. W przeddzień poszedłem z referatem do Jerzego Łazarza. Czy była ze mną Jadwiga Pilichowska, której bezpośrednio podlegałem, tego też nie pamiętam. Jerzy Łazarz przeczytał referat i „dał mi popalić”. Bezpośrednio obnażył wszystkie melizmy, uproszczenia, pustostany. W miarę tego, jak mówił, rozumieć zacząłem, co powinien być zrobić. Wróciłem do domu, napilem się kawy i śiadłem do roboty. Następnego dnia wygłosiłem referat z przygotowanych w nocy te. Odniosłem chyba duży sukces, bo sala słuchała w skupieniu, a później była dyskusja. Jerzy Łazarz nie odezwał się już słowem. Można było to uznać za pochwałę.

Ale też jego stosunek do ludzi zrodził konflikt, po którym odszedł od nas. Odebyło się przedtem zebranie „załogi” z udziałem Józefa Stępnia z KW PZPR, który „z urzędu” opiekował się wojewódzką organizacją ZMS. I sekretarzem wtedy została Jadwiga Pilichowska. Po niej był Stanisław Pawlik, po nim Bronisław Rogut. Jadwiga najpierw pracowała w Wydziale Kultury i Sztuki UW, a później w „Pino-kio”. Dziś już nie żyje.

Gdy przyszedłem do pracy w KW ZMS w Łodzi był tam już Jerzy Kałużka, który zajmował się sprawami kultury i klubami ZMS. Leon Nowak zajmował się szkoleniem, potem przeszedł do pracy w aparacie partyjnym i przez kilka lat piastował funkcję przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w Sieradzu. Dziś już na emeryturze. Tadeusz Jułka zajmował się Brygadami Pracy Socjalistycznej i młodzieżą robotniczą, przeszedł później do pracy w związkach zawodowych, a teraz pracuje w spółdzielczości mieszkaniowej. Florian Bogus rozwijał Ochotnicze Hufce Pracy, dziś pracuje w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym. Ireneusz Ubysz zajmował się sprawami organizacyjnymi czyli niemal — wszystkim poza propagandą. Pomagała mu w tym Janina Dworaczynska. Kazimierz Urbański — zawsze elegancki, dokładny jak przystało na księgowego, dobry fachowiec, ale wiekiem już niezbyt pasujący do tej rozbrykanej hałastury — prowadził dział ogólny. Kasa zajmowała się Jolka — dziś Juliana Kałużkowska. Nieco później do nas Andrzej Karnowski, który po Jadwidze Pilichowskiej zajął się propagandą. Sportem zajmował się Marian Wróbel, który później przeszedł do pracy w milicji i dziś już jest dostojnym emerytem. Z Marianem przydarzyła się nam kiedyś taka oto przygoda.

Było to w lutym 1961 roku. Trzeba było przygotować lokalizację pod letni obóz. Pamiętam, że luty tego roku był niebywale ciepły. Wzięliśmy delegację i ruszyliśmy na wybrzeże. Pojechaliśmy do Szczecina. Tam każdy z nas odwiedził swoją rodzinę, a wieczorem umówiliśmy się na Dworcu Głównym, aby ruszyć w objazd letniskowych miejscowości w poszukiwaniu lokalizacji pod letnie obozy. Celem naszym był Trzebiatów, ale dojechalśmy jedynie do Gryfio, bo dalej pociąg nie szedł. Dopiero rano. W hotelu nie było wolnych miejsc, gdyż obradował zjazd kółek rolniczych. Usiedliśmy w dworcowej poczekalni, zamówili po dużym kufu piwa — było to czasy — wyjęliśmy mapę wybrzeża i zaczęliśmy ustalać marszrutę na dalsze dni. Komuś musiało się wydać, że wiele podejrzane, gdyż po 5 minutach w poczekalni pojawiło się dwóch milicjantów i zaczęli wszystkich siedzących wokół nas legitymować. Zabawa była przednia, bo w zasadzie wszyscy się tu znali i wszyscy domyślali się, że chodzi o tych dwóch niebezpiecznych szpiegów, czyli o nas. Wreszcie milicjanci doszli do nas.

— Poproszę dokumenty — powiedział starszy stopniem.

Wyjęliśmy dowody osobiste i wręczyli milicjantom. Popatrzyli na nie z uwagą.

— Panowie z Łodzi?

Potwierdziliśmy: — Z Łodzi.

— Co panowie tu robią?

— Siedzimy i czekamy na pociąg — powiedziałem.

— Ale w jakim celu?

— Żeby pojechać dalej.

— Jaki jest cel panów podróży?

— Służbowy — powiedział Marian Wróbel.

— Mają panowie delegację?

Wyjęliśmy delegację i legitymacje służbowe. Milicjanci popatrzyli z szacunkiem na pieczęcie ZMS, zasalutowali, oddali legitymacje i delegację i nikogo już nie legitymując opuścili poczekalnię. Okazało się, że wcale nie jesteśmy niebezpiecznymi szpiegami, a wręcz przeciwnie.

Pojechaliśmy dalej: po drodze byli Trzebiatów, Kołobrzeg, Darłowo i Darłówek, Ustka i Braniewo. Przejechaliśmy całe wybrzeże, nie szczególnego nie znaleźliśmy. Ja nabrałem się grypy. Lokalizację znalazł natomiast Zdzisław Słezak, kolejarz z Kutna, który tradycyjnie na obozach KW ZMS pełnił funkcję kwatermistrza. Była to Sława Słaska, która przez wiele lat służyła młodzieży województwa łódzkiego jako miejsce obozowania.

Siedzieliśmy na piątym piętrze wojewódzkiej strony gmachu partii przy al. Tadeusza Kościuszki w jednym dużym pokoju, w którym zawsze było pełno, coś się działo, hałas, i gwar panował spory, ale to jakoś nam nie przeszkadzało. Zrobiłem tylko Leon Nowak pokrzykiwał, żeby zrobić się spokojnie, ale mało kto się tym pokrzykiwaniem przejmował. Przyszli do nas różni ludzie. Wszystkich już dziś nie pamiętam. Przyszli do nas przykład Andrzej Lipiński z całą grupą różnych artystów. Andrzej Lipiński był z wykształcenia etnografem, ale z temperamentu publicystą kulturalnym, który stał się czymś organizować. Przyszli do nas Ludwik Kronie, portrecista ludzi morza, który właśnie Neptunią wrócił z rejsu do Lizbony. Przez pewien czas w Wydziale Młodzieży Szkolnej KW ZMS pracował jako instruktor Józef Kowalski — później wiceprezydent miasta Łodzi. Przyszli do nas Henryk Maciejewski, który później był szefem WAG, poprzedniczką Krajowej Agencji Wydawniczej, ale losy jego stały się dziwnie poplątane i pełne sprzeczności.

Wiele byłoby jeszcze do wspomnienia, ale czas iść na spotkanie.

4.

No i spotkaliśmy się, jak chciał tego Jerzy Kałużka. Sporo już czasu od tego spotkania upłynęło, ale nagrałem jego przebieg na magnetofonie i dziś z tego nagrania korzystam. Na spotkanie przyszedł:

— Janina Dworaczynska — założyła koło ZMS w Andrzejowie, była członkiem Komitetu Powiatowego ZMS w Łodzi, służyła w Rozalinie na kursach dla rezerwy kadrowej i od 1962 roku pracowała w KW ZMS; po pracy w ZMS przeszła do Zarządu Okręgowego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych, potem był PGM „Instal” w Bełchatowie i obecnie pracuje w Prasowych Zakładach Graficznych RWS „Prasa — Książka — Ruch” jako kierownik działu ekonomicznego.

— Lucja Granosik — najpierw pracowała w PSS „Społem” w Łęczycy. W 1965 roku została wybrana przewodniczącą ZP ZMS w Łęczycy, w 1970 — sekretarzem ZW Ligi Kobiet w Łodzi, następnie pracowała w ZO Związku Ochotniczych Straży Pożarnych i od 1976 roku pracuje w „Fotootyście”.

— Jerzy Kałużka — oddelegowany z „Życia Pabianickiego” do pracy w KW ZMS, prowadził pracę kulturalną tej organizacji, w 1962 roku przeszedł do pracy w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa — Książka — Ruch” i minęło mu już 25 lat pracy w ŁWP.

— Zbigniew Kociński — pracował w PKS i przeszedł do pracy w Prezydium WRN, gdzie założył koło ZMS; w 1966 roku został wybrany przewodniczącym ZP ZMS w Łodzi, w 1970 roku przeszedł do pracy w Wydziale Organizacyjnym ZW ZMS w Łodzi, a w 1973 roku został wiceprzewodniczącym ZW, następnie przeszedł do pracy w Urzędzie Dzielnicy na Polesiu jako kierownik Wydziału Finansowego.

— Wanda Kolba — zaczęła działać w ZMS w Komitecie Łódzkim w 1963 roku, od 1967 roku była na studiach w Moskwie, po powrocie została członkiem prezydium ZW ZMS w Łodzi; po wprowadzeniu nowego podziału administracyjnego pracowała w KW PZPR w Sieradzu, a w 1982 roku przeszła do pracy w ŁWP RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

— Maksymilian Salaciński — zajmował się sportem i działał w pabianickim Wioślarni, a do pracy w ZMS przeszedł w 1968 roku najpierw jako instruktor, a później jako przewodniczący ZM ZMS w Pabianicach; po 1975 roku przeszedł do pracy w „Anilanie” jako główny specjalista od spraw pracowniczych.

— Ireneusz Ubysz — był ostatnim przewodniczącym Zarządu Zakładowego ZMP w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Łodzi, gdy ZMP przestał istnieć, choć swojej organizacji zakładowej nigdy formalnie nie rozwiązywał; po likwidacji w 1958 roku łódzkiej dysekcji PKF przeszedł do pracy w Kółkach jako dyżurny ruchu, tam też — w powiecie brzezińskim — zakładał ZMS, był pierwszym sekretarzem społecznym i etatowym KP ZMS w Brzezinach, skąd przeszedł do pracy w KW ZMS w Łodzi, gdzie był kierownikiem Wydziału Organizacyjnego, a następnie sekretarzem KW ZMS i wiceprzewodniczącym ZW ZMS; po pracy w ZMS był wicedyrektorem PZ Środków Opatrunkowych w Pabianicach, sekretarzem ZG ZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Skórzanego i Odzieżowego w Łodzi, skąd odszedł w czerwcu 1980 roku, poprzednio był sekretarzem KM PZPR w Pabianicach, po 1980 roku był zastępcą dyrektora w „Technoizbycie”, a teraz w CZ Spółdzielczości Pracy — Zakład Obrótu Towarowego.

Rozmowę naszą poprowadził Edmund Lewandowski — bo przecież jakiś porządek musi być — też był działacz ZMS, ale z Łodzi; chociaż po prawdzie, to najpierw był I sekretarzem Komitetu Szkolnego ZMS w Technikum Mechanicznym w Inowrocławu, później działaczem ZMS na UL, wiceprzewodniczącym Okręgowego Zarządu Studenckiego ZMS i wiceprzewodniczącym ZD ZMS na Polesiu oraz członkiem prezydium ZŁ ZMS.

O czym rozmawialiśmy, to już opowiem przy następnej okazji.



W przerwie obrad Złoty Zjazd „Młodzież Pięciolatki” w Zgierz w 1963 roku. Rozmawiają: od lewej Janina Dworaczynska z Ignacym Logą-Sowińskim — członkiem Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczącym CRZZ i Jadwigą Pilichowską ze Stefanem Jędrzejczakiem — I sekretarzem KW PZPR w Łodzi.
Foto: Janusz Glowacki

Na tym świecie i nawet poza jego obrębem, trudno sobie wyobrazić coś cenniejszego od życia, a w życiu nie ma chyba nic bardziej przyjemnego niż życie seksualne. Toteż we wszystkich cywilizacjach — z wyjątkiem może chrześcijańskiej — przywiązywano duże znaczenie do spraw erotycznych.

Prawdopodobnie pod wpływem religii katolickiej w Polsce niełatwo pisać o seksie. Przekonał się o tym nie tylko Zbigniew Nienacki. Jesteśmy, niestety, narodem pruderyjnym. Wszelkie opowiadania z „momentami” są powszechnie potępiane. Adolf Rudnicki słusznie pisze:

„Ten tak swobodny w obyczajach kraj za nic nie chce podobnych opisów, pruderia jak cholera! „Laisse tomber les filles et tais — toi” jako zasadę. W tej dziedzinie język zdechł i nawet nie wiem, czy w ogóle da się napisać o opowiadaniu pornograficznym bez wulgarności”.

W języku polskim brakuje szerszego słownictwa, aby swobodnie pisać o „tych rzeczach”. Wyrazy na „ch” i „p” jednoznacznie uchodzą za nieprzyzwoite i można je spotkać na ścianach miejsc „ustronnych”. Podobno pierwszy ma niezwykle długą historię i pochodzi od irańskiego „hoya” — zły (irańczycy i Praslówianie sąsiadowali ze sobą kiedyś), a drugi ma związek z angielskim „peep” — podglądać lub „pepper” — popieprzyć.

W niedawno wydanej znakomitej książce Andrzeja Kuśmiewicza „Mieszany obyczaj” (Warszawa 1985) jest symptomatyczny fragment przedstawiający miłość między arabiną Ksenią i Kazikiem. Na stronie 181 czytamy:

„Wzięła go mocno pod ramię, tak silnie, że poczuł, iż ból tuż ponad łokciem, gdzie zaciśnięty się mocno jej palec, i zaciśnięta w bok, w rozciągając tam chaszcza dzikich brzozy i leszczyny. Zdołał pomyśleć jeszcze: całkiem jak Rafałek Olbromski z szambelanową Olowską... Albo jak nieszczesny Czarus Baryla z piękną panią Laurą... Kiedy to Zeromski w odyściadzie, na marginesie, wyjaśnił, rezygnując z opisu miłosnej sceny, że czyni to w obawie o posądzenie o nieprzyzwoitość, jako że u nas opinia nie zezwala na opisy scen miłosnych w literaturze... Pornografial — krzyż, czy natychmiast i mają wzięcia diabelskie... Jak to sam szatan dobiera się do chutliwej męzki w łóżku... I wtedy ów świętość, przez szparę w ledu — ledwo rozumieliśmy zastanie, przebijając nogami w miejscu jak sztabak, podgląda zakazaną scenę. Kruchta, Bogu dzięki, trwa! Nie zagięła! Obłuda nie przepadała za szczerem! Jeszcze mamy jej spory zapas! I czujemy dokoła swą kładzidła”.

A tymczasem w parku w Zahajkach hrabina Ksenia, która małżeństwo się nie udało, zdjęła majteczki (niestety, zdarza się, choć nie powinno), powiesiła na krzaku, położyła się na zeschłych klonowych liściach i pokochała z dalekim kuzynem po kądzieli. Było na czwórke z plusem. Nieźle! Proszę zauważyć, że nie można u nas przedstawiać w literaturze aktów miłosnych, lecz w towarzystwie — szczególnie po wodzie — uchodzi opowiadanie sprośne dowcipy. Potrafią się z nich śmiać nawet poważne damy. Tylko nieliczne oburzają się i reagują w sposób stanowczy.

Kościół uczy, że stosunki seksualne dopuszczalne są tylko po ślubie. Jednakże większość katolików stała w „błogosławionym stanie” na ślubnym kobiercu. Dokonała się bowiem desakralizacja etyki seksualnej. Nie jest to jeszcze rewolucja seksualna, jak głosi Z. Nienacki, ale już oddzielenie erotyki od religii.

INNY STOSUNEK DO SEKSU

występuje w kulturze hinduskiej. Już 1500 lat temu Watsajana Mallanga napisał „Kamasutra” czyli Traktat o Miłowaniu. Autor polskiego przekładu i wstępu (Warszawa 1985) Maria Krzysztof Byrski pisze:

„Indus umieszczając sprawę pici na najwyższym, rzecz można eschatologicznym, poziomie, nadali im taką rangę, która wykluczała pruderię i niewczesne zawstyżenie. Najlepszym tego dowodem jest literatura sanskrycka — tu mówi się o tych sprzeczach pięknie i bez żadnego skrepowania, poczynając od tej części, jaką się w Indiach uważa za objawioną, w dialogu między nimfą niebiańską Urvati i jej kochankiem, ziemianinem Pururawasem”.

Miłość seksualną i rozkosz zmysłową traktowano w Indiach jako jeden z głównych celów życia. Przyjemność erotyczna miała największą wartość etyczną, ponieważ jest efektem doznań wszystkich pięciu zmysłów.

Miłowanie czyli „Kama” (w przeciwieństwie do sanskryckiego „Dwesza” czyli Niechęć) to — według mistrza Watsajany — „przy współdziałaniu jaźni słusznego skłonności zmysłów słuchu, czucia, wzroku, smaku i powonienia, których ostoją jest serce, ku odpowiednim przedmiotom. Rozkosz płciowa to rezultat szczególnego kontaktu z przedmiotem zmysłów. Przepelnia ją szczęście zespoleń miłosnego i owocuje nasieniem” (I.2 11—12).

Autor hinduski utrzymywał, że z racji natury mężczyzna jest podmiotem i zdobywcą, a kobieta przedmiotem i zdobytą. Zespoleń miłosne uważał za pewien rodzaj konfliktu i walki. W konflikcie tym występują „mylące pozory”. Kobieta radzi, żeby nie okazywały się wcześniej podniecenia i nie ulegały zbyt łatwo. „Nie szanuje się bowiem łatwej niewiasty, a pragnie trudnej — pisał — oto powszechna reguła” (V.1.16).

W tym miejscu przypomina się piękny opis z powieści Gabriela Garcilá Marqueza „Sto lat samotności”. Aureliano Babilonia zdobywa Amarantę Ursulę, która wyszła z lazienki i udala się do sypialni:

„Brutalnym szarpnięciem zerwał płaszcz kąpielowy, z nim zdążyła mu przeszkodzić, i spojrzawszy w przepaść świeżo umytej nagości, gdzie nie było ani jednego odcienia skóry, ani jednej smugi puszku ani nieprzykrycia, którego by nie wyszła. W ciemnościach innych pokoi. Amaranta Ursula broniła się szczerze, z chęcią doświadczonej samicy... Była to duża walka na śmierć i życie, ale wydawała się pozbawiona wszelkiej gwałtowności, bo składały się na nią konwulsyjne ataki i widmowe odwroty, powolne, ostrożne, wroczyste...”

W pewnym momencie — czytamy dalej — „oboje zdali sobie sprawę, że są jednocześnie przeciwnikami i współnikami, i polityczna przemoc stała się konwencjonalną igraszką, a wrogie agresje — w pieśń. Nagle, niemal w zatajewie, jakby to był jeszcze jeden figiel, Amaranta Ursula zaprzęta obrony, na ułamek sekundy, a gdy zareagowała, przerażona tym, do czego sama dopuściła, było już za późno. Straszliwy wstrząs unieruchomił ją w punkcie ciężkości i przyswoił do miejsca, a wola obrony zdruzgotana nie odparta żądza odkrycia, czym są te pomarańczowe siatki i niewidzialne stery czekające na nią po drugiej stronie śmierci. Ledwie zdążyła wyciągnąć rękę, po omacku sięgnęła po ręcznik i zakneblowała sobie nim usta, żeby nie wyrwało się z nich miauczenie kotki, rozdzierające już jej wnętrność”.

Watsajana Mallanga wyodrębnił trzy typy mężczyzn i trzy typy kobiet w zależności od wielkości narządów płciowych. Partner może być płcią, buhajem lub ogierem, a partnerka — gazela, klaczka bądź słonica. Na tej podstawie wyróżniał dziewięć rodzajów zespoleń miłosnego: trzy związki „proste” (zając i gazela, buhaj i klacz, ogier i słonica); dwa związki „wysokie” (buhaj i gazela, ogier i klacz); jeden związek „wysoki” (ogier i gazela); dwa związki „niskie” (zając i klacz, buhaj i słonica); jeden związek „niższy” (zając i słonica).

Mistrz hinduski uważał, że najlepsze są związki proste, kiedy zespala się osoby mające odpowiednie wielkości przyrodzenia, a najgorsze — związki wyższy i niższy. W przypadku wysokich i niskich lepsze są te pierwsze, kiedy



Aubrey Vincent Beardsley

Jak zatrzymać miłość i przedłużyć życie?

Wschodnia sztuka kochania

MIROSLAWA SARBIŃSKA

partner ma bezpośrednio większy organ płciowy niż partnerka.

Wybierając sobie żonę mężczyzna powinien baczyć, żeby pochodziła z dobrej rodziny, była piękna, zdrowa i młodsza od niego co najmniej o trzy lata. We współczesnych Indiach mężczyźni żenią się przeciętnie w wieku 30 lat. Natomiast kobiety wychodzą za mąż w wieku około 14 lat.

Słynna „Kamasutra” powinna być w Polsce dość szeroko znana, ponieważ została wydana w dwóch różnych przekładach i oficynach — przez Państwowy Instytut Wydawniczy i Krajową Agencję Wydawniczą. Należałoby teraz udostępnić książki prezentujące

NAUKI EROTYCZNE CHIŃCZYKÓW

Pamięta przekonanie, że Chińczycy nie przywiązują zbyt dużej wagi do miłości i potępiali wszelkie nadmierne wybuchy namiętności. Tak w istocie było w kulturze i religii konfucjańskiej. Ale istniała bardzo ciekawa koncepcja miłości seksualnej w doktrynie taoistycznej.

Taoizm przyjmuje, że wszechświat stanowi całość. Człowiek, społeczeństwo i przyroda tworzą jeden wspólny ład. U podstaw tej całości znajduje się Tao (dosłownie Droga) — system praw, początek i koniec wszystkiego. Tao jest samolotne, bezkresne, ciałe, niezmienne, wieczne, niewidzialne, niesłyszalne, nieokreślone, bezoso-

bowe, bezimienne. Człowiek — jak wszystko co istnieje — powinien żyć zgodnie z Tao. Naturalne, odwieczne prawa Przyrody są ważniejsze niż normy ustanowione przez ludzi.

Według taoizmu źródłem wszelkiego ruchu są przeciwieństwa — naturalne wewnętrzne sprzeczności. W świecie nieustannie walczą dwa pierwiastki: Jang oraz In. Pierwszy reprezentuje wszystko, co męskie, twarde, czynne, jasne, ciepłe. Drugi przedstawia to, co żeńskie, miękkie, bierne, ciemne, zimne. Są to siły przeciwstawne, lecz komplementarne.

W stosunkach między mężczyzną a kobietą istnieje również sprzeczność i komplementarność. Mają potrzeby i cechy różne, ale uzupełniające się nawzajem. Warunkiem ich szczęścia jest harmonia.

Z natury kobieta jest silniejsza od mężczyzny, jak woda od ognia. Jang szybko osiąga prężność i szybko słabnie. In zaś powoli osiąga szczyt i zaspokoje. Stan harmonii między nimi powinien się wyrażać w możliwie pełnej satysfakcji erotycznej.

Chiński odpowiednik „Kamasutry” powstał w okresie dynastii Han (206 p.n.e. — 220 n.e.). Nosi piękną nazwę — „Sekrety jaspisowej alkowy”. Nauki te rozwinął doktor Sun Szu Mo (581—682) w traktacie „Bezcenna recepta”. Fragmenty obu utworów przełożył Stanisław Mile w jednym z seszytów „Fikcji i Faktów” (KAW 1986).

Chińscy specjaliści od seksu wyznają zasadę, że podstawa siły i zdrowia mężczyzny są częste stosunki seksualne przy ściśle ograniczonych ejakulacjach. Mężczyźni nie wolno bezmyślnie trwonić nasienia. Musi nauczyć się spótkować bez wytrysku.

„Po wytrysku — czytamy — mężczyzna jest wyczerpany, słyszy dzwonienie w uszach, czuje płasek w oczach. Pragnie napoju i snu, a jego ciało staje się bezwładne i ciężkie. Ejakulacja dostarcza kilku sekund rozkoszy, ale jej następstwem są długie godziny niemocy. A to już trudno nazwać prawdziwą przyjemnością. Natomiast jeśli mężczyzna zredukuje częstotliwość ejakulacji i wręcz ograniczy ją do minimum, jego ciało stanie się silne, umysł błyskotliwy, wzrok i słuch ulegną poprawie. Ograniczając emocje wynikające z samej ejakulacji, uzyska on w zamian stały wzrost pożądania. Będzie się zachowywał wobec swej partnerki tak, jakby ciągle był mieniasycony. Czy nie jest to prawdziwa i długotrwała przyjemność?”

Rezygnacja z wytrysku daje mężczyźnie wiele korzyści: poprawia krążenie krwi, wzmacnia mięśnie, zaostrożność i słuch, uodparnia na choroby, zwiększa potencję, przynosi spokój ducha, przedłuża życie. Sun Szu Mo przekazywał w dobrym zdrowiu 101 lat. Jego recepta na długowieczność jest następująca — dwa wytryski nasienia miesięcznie, czyli dwadzieścia razy rocznie. A poza tym stosować odpowiednią dietę i uprawiać ćwiczenia fizyczne. Inny z kolei mistrza radził, żeby własną wytrysk przyspalał raz na trzy dni, latem i jesienią tylko dwa razy w miesiącu, a zimą najlepiej wcale. A oto rada dyrektora cesarskiej szkoły medycznej z VII wieku:

„Mężczyzna powinien kształtować w sobie umiejętność odkładania ejakulacji do momentu, kiedy jego partnerka zostanie w pełni zaspokojona. Wówczas odkryje w sobie i doskonali optymalną własną częstotliwość wytrysku. Ta z kolei nie powinna przekraczać dwóch do trzech razy na dziesięć stosunków”.

Czy jednak bez ejakulacji można osiągnąć orgazm? Składną wiadomo, że mężczyźni bardzo lubią mieć wytrysk i to w dodatku w pochwie. Przejawia się w tym pragnieniu instynkt życia. Również kobietom sprawia ogromną przyjemność wytrysk w pochwie — o ile oczywiście nie obawiają się niepożądanego ciąży. Czy może więc być orgazm bez ejakulacji? Mistrzowie taoizmu stanowczo twierdzą, że tak.

NAJWAŻNIEJSZY PROBLEM

polega na tym, żeby mężczyzna miał silną wolę i potrafił powstrzymać wytrysk. Wymaga to doświadczenia. Jeżeli jego podniecenie zbliża się do szczytu, powinien wycofać członka z pochwy częściowo lub całkowicie i odczekać chwili aż minie spogum. Wycofanie na okres dziesięciu do trzydziestu sekund pozwala zmniejszyć erekcję od dziesięciu do trzydziestu procent. Im więcej ćwiczeń, tym potrzeba wycofania staje się coraz rzadsza.

Taoiści podkreślają, że pchnięcia miłosne powinny być różnorodne: płytkie i głębokie, szybkie i wolne. Najgorsza jest monotonia. Pewna doradczyni cesarza wyjaśniła władcy, co ma robić mężczyzna:

„Im dłużej będzie on kontynuował pchnięcia, tym bardziej oboje będą zadowoleni. Pchnięcia nie powinny być ani zbyt szybkie, ani zbyt wolne. Nie powinny one także być zbyt głębokie, gdyż mogłyby być bolesne dla kobiety. (...) Kiedy kobieta osiągnie szczyt rozkoszy — nieświadomie za-

stanie się. Będzie się pociła, a jej odczek stanie się szybki. Jej oczy będą zamknięte, a spiers pokryje rumieniec. Po tych oznakach mężczyzna może zorientować się, że jego partnerka jest zadowolona”.

Stosunek powinien trwać jak najdłużej. Chcąc zaspokoić pożądanie miłosne kobiety trzeba wykonać „tysiąc miłosnych pchnięć”. Tej liczby nie należy jednak brać dosłownie. Znaczący taoizm uważa, że można wszystko spełnić w ciągu około trzydziestu minut.

Starożytny filozof i lekarz chiński Wu Hsien był zdania, że doświadczonego mężczyznę potrafi wstrzymać nasienie do co najmniej... pięciu tysięcy pchnięć. Musi tylko umiejętnie łączyć okresowe wycofywanie z głębokim oddychaniem przy udziale przepony brzusnej. Podobno w ten sposób można kontynuować stosunek w nieskończoność i zaspokoić w ciągu jednej nocy dziesięć kobiet.

Opisy tych niewiarygodnych wyczynów kłóć nam się z obrazem Chińczyka zachowującego we wszystkim umiar i złoty środek. Trudno uwierzyć, że brały w tym udział pokorne, nieśmiałe i powściągliwe kobiety chińskie. Należy wszak pamiętać, że taoiści głosili zasadę równouprawnienia kobiet w życiu seksualnym.

Cesarzka doradczyni Su Wu podała charakterystyczne oznaki gotowości kobiety i odpowiednio wskazywała dla mężczyzny:

— przysłała mężczyznę do siebie obiema rękami; wskazuje to, że pragnie ściślejszego kontaktu cielesnego;

— unosi w górę nogi; wskazuje to, że pragnie silniejszego pocierania łechtaczki;

— unosi w górę brzuch; oznacza to, że oczekuje płytszych pchnięć;

— porusza biodrami; jest to oznaka jej zadowolenia;

— przyciąga partnera nogami silniej do siebie; oznacza to, że pragnie głębokich pchnięć;

— opiera partnera nogami; oznacza to, że prosi o jeszcze;

— gwałtownymi ruchami kołysze się w obie strony; oznacza to, że pragnie szczególnie głębokich pchnięć w prawo i w lewo;

— unosi ciało silniej przyciskając się do partnera; oznacza to, że przeżywa szczególną rozkosz;

— rozluźnia swe ciało; wskazuje to, że została w pełni zaspokojona”.

Mistrzowie taoizmu zalecali dużo różnorodnych pozycji seksualnych. Dopuszczali rozmaite formy miłości. Stanowczo potępiali jedynie — podobnie jak Hindusi — stosunek analny, czyli tzw. paedicatio (chrześcijański „grzech sodomski”).

Na pytanie — co robić, żeby mąż i żona stale pożądal się wzajemnie i jak najczęściej kochać fizycznie? — taoizm daje więc prostą receptę ograniczyć ejakulację. W zależności od wieku mężczyzny powinno to wyglądać następująco:

„Mężczyzna w wieku lat dwudziestu może doprowadzić do wytrysku raz na cztery dni, mężczyzna trzydziestoletni — raz na osiem dni, czterdziestoletni — raz na dziesięć dni, pięćdziesięcioletni — raz na dwadzieścia dni, wreszcie — mężczyzna sześćdziesięcioletni powinien odbywać stosunek bez ejakulacji. Jeśli natomiast jest on szczególnie silny i zdrowy — może doprowadzić do jednego wytrysku miesięcznie” (Sun Szu Mo).

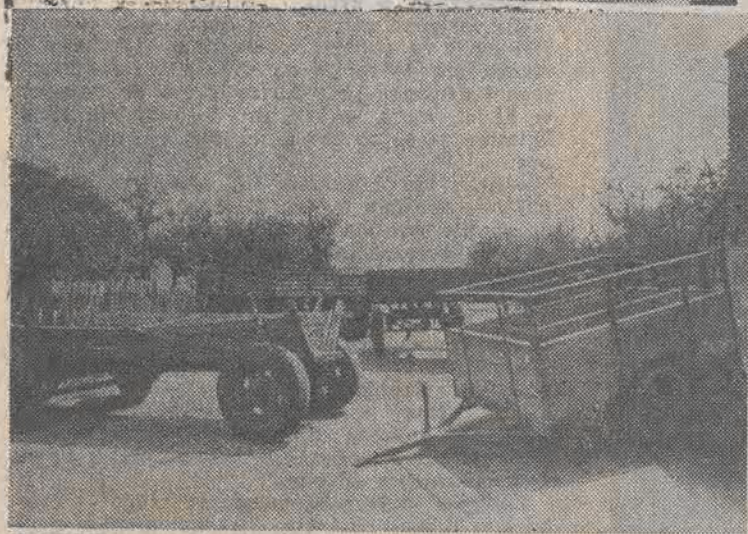


Foto: Janusz Kubik

Nieważne kto postawił wiesz na nogi, krzycząc:

— Jadą!
Każdy by tak zrobił: młody i stary, biedny i bogaty. W tej jednej sprawie nie ma między ludźmi zwady. Wszyscy są przeciw łódzkiej śmierci. Przeciw okrutnemu prawu.

Kto stał najbliżej, ten podskoczył do remizy, żeby zapuścić strażacką syrenę. Wycie syreny wcale nie musi wzywać do pożaru, szczególnie jeśli ją w umówiony sposób użyć. Ale tego dnia z dachu remizy nie pobiegł w świat żaden sygnał trwogi, bo akurat cała wieś odcieła od prądu. Może przez przypadek.

Był poniedziałek, 13 lipca 1987 r. Jechali zsozą od Woli Rakowej: śmieciarze na ciężarówce ze sprzętem, barakowóz i spychacz MPO. Przodem wolno jechały milicyjne radiowozy. Dzieciaki naliczyły pięć aut z kogutami na dachach.

podwórzu, ten przeklina do dziś — mało się trzoda nie potruła. Innym znowu razem wygrzebał deski i porabane skrzynie z chemicznej fabryki. Wziął na opał, bo o węgiel kruczo. Chwalił Boga, ledwie z życiem i zdrowiem uszli, taki gaz z palonego drewna wleciał na izbę. Teraz nikt do śmietnika nie podchodzi, chyba że strażacy z sikawkami, bo czasem śmieci zapalają się same. Trucizna też sama w ziemię wsiąka i okrutnie wykańcza drzewa. Mrą na stojąco.

Nie chce piekła Eugeniusz Kisiel, bo i czemu miałby chcieć. Cudze śmieci, to cudze zmartwienie. Co innego, gdyby władza urządziła śmietnik jak należy, czyli przepiślowo. Ale jedenasty już rok mija, odkąd miasto sposobi się do wywozu brudów na palczewskie pola, a nikt jeszcze zwirowni palcem nie tknął, pio-

nowy Inspektor Sanitarny z Widzewa, a Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska dowiodła, że Marmurowa jest kompletnie nie przygotowana do funkcji miejskiego śmietnika. Cierpi na tym okoliczna ludność. Mimo tylu sprzeciwów, 5 tysięcy ton odpadów komunalnych dziennie wywozi się na nielegalny śmietnik. Dyrekcja MPO zbiera nagany i surowe upomnienia, raz nawet Sanepid postawił ją przed kolegium do spraw wykroczeń. Ale, żeby szanować prawo, śmieciarki MPO nie powinny w ogóle wyjeżdżać na ulice, bo w Łodzi i okolicy nie ma legalnego wysypiska.

Długo wysypiskiem był Józefów — dokładnie 19 lat. Na 15 hektarach wyeksploatowanej zwirowni urosła tam wielka góra śmieci ugniatana gąsienicami spychaczy. Wyrosłaby pewnie jeszcze wyżej niż

z Brójec nie chcieli już obecności cudzych brudów. Zawieźli nawet stosowną petycję do Rady Państwa, lecz stolica protest odrzuciła, jako niezgodny z ustawą o planowaniu. Wtedy chłopci postawili ultimatum: będzie wysypisko, jeżeli wieś na tym nie straci — a zyska. Wieś chce zyskać meliorację łąk, przydział ciągników, dożarek i kombajnu dla kółka rolniczego, kucharek gazowych dla gospodyń, chce pieniędzy na dom ludowy i rozbudowę szkoły. Żąda także miejskiego autobusu, który by połączył Palczew z Łodzią, bo na razie środkami komunikacji są nogi albo rower.

Łódź, która tymczasem znalazła się w sytuacji bez wyjścia, czyli bez miejskiego śmietnika, przestała na chłopięce warunki. Mają one kosztować blisko pół miliarda złotych. Na początek Łódź dała czterony autobus, dodatkowe przy-

Chłopi zgłosili sprzeciw.

Bardzo brudna sprawa

ROMAN KUBIAK

Dalej wszystko poszło sprawnie, jak w dobrze przewidzianym pospolitym ruszeniu. Każdy wiedział, co do niego należy, bo nie pierwszy raz tak czynili — tylko trzeci. Gospodarze do wozów, gospodynie na drogi, dzieciarnia na rowery. Skrzyknęli się bez pomocy syreny. Ci z Palczewa, Wardzyna i Woli Rakowej, razem kompania chłopca.

Za sklepem jest krzyżówka, w lewo trakt do zwirowni. Asfaltówki przez wieś chroni prawo, bo to droga publiczna, więc każdy może nią jechać. Ale traktu do zwirowni chronią sami. Usypali go jeszcze w szarawakach, na między i paru skibach lichego pola. Droga wiedzie prościutko do starego wyrobiska, a wedle nowego prawa ma prowadzić na miejskie wysypisko. Dlatego tam czekali spoobności.

Rychło się doczekali. Przepuścili radiowozy MO, ale wielkim ciężarówkom już drogi nie dali.

— Zawracać! Nazad do Łodzi! — huknęły kobiety i ujawszys się pod boki wyszły wprost na koła „Kamazów”. Młodsze niosły na rękach dzieci. Chłopi tymczasem zasłaniali drogę furmankami. Barykady z furmankami i ciężkich traktorowych przyczep może poradzić tylko czołg.

Soltyś się nawet nie wtrącał, taki był porządek. Szczególnie nikogo nie poniosło. Soltyś we wsi szanują i rad jego słuchają, bo Henryk Misiak twardego stoi za ludźmi. On też nie chce śmietnika na palczewskich polach, chociaż lepiej od ludzi rozumie, że prawo jest po stronie władzy. Misiak nie chce śmietnika, bo wie czym to pachnie. Jak miał trochę czasu po żniwach, jeździł oglądać wysypiska miejskich brudów. Wracal mocno zlekionny. Co zobaczył, tego się nie da na spokojnie powiedzieć — istne piekło. Na przykład na Widzewie. Smród, że z chaty nie wychodzi, latem aż dech odbiera. Upasionych szczerów całe gromady, człowieka się nie boją, przed zimną wiałą do stodoł. Muchy zielone, od końskich chęba większe, siadają gdzie popadnie, zaraz się sieją. Próżno z nimi wojować. Albo było — krowy strach na łąkę wypędzić, bo się od fruwających brudów strują, mleko zgubią i jak wtedy z nich pożytek. A od Palczewa do zwirowni ledwie pół kilometra, smród i paskudztwa wiatr akurat poniesie ku wsi. Wokół zaś żytnie pola, łąki, pastwiska i rybne stawy. Niejeden i czternaście mlecznych krów uchowa, choć ziemia tu postna, łąki bez melioracji. Rok w rok dają miastu trzy miliony litrów mleka.

Trochę piekła już zaznali. Będzie z dziesięć lat, odkąd w doły po palczewskiej zwirowni sypie śmieci łódzka „Anilana”. Wozł je odkrytymi wywrotkami drogą przez środek wsi. Brudy to są straszliwe — prawie sama chemia. Raz fabryka zrzuciła puste beczki po jakimś płynie, całkiem przydatne jeszcze — napisy były dziwne, pewnie amerykańskie. Kto owe beczki przytargał na

tem nie ogroził, zasłony z drzew nie posadził. Miastowi chcą mieć czyste ręce. Dopiero jak Łódź zapełniła wszystkie swoje wysypiska i mało nie utonęła w brudzie, wtedy wspomniła o Palczewie i posłała na wieś śmieciarzy. Dlatego to wiosną osiemnastego piętego, ludzie pierwszy raz stanęli w poprzek drogi. Na próżno wzywali milicję. Nie przeszli.

Młodzi też nie chcą łódzkich śmieci, no bo co za przyszłość, żyć pod cuchnącym śmietnikiem. Lepiej zawczasu uciekać do miasta, kubał nieczystości wyrzucić do blokowego zyspu, głowę wciągnąć w telewizor. Przynajmniej nie żał patrzeć, jak ojcowizna marnieje. Tutaj los podły z wyrokiem samotności — żadna dziewczyna nie chce chłopaka spod śmietnika. Ręczy za to Wojciech Trębacz, szef koła ZMW, który z młodzieżą przegadał niejedną noc i stąd wie, że najdalej za lat pięć uciekną wszyscy silni i zdrowi.

Palczew jest dla Łodzi ostatnią deską ratunku. Jeśli do września tego roku władze miasta nie znajdą porozumienia ze zbuntowanymi chłopami, Łódź utonie we własnych śmieciach. Taka sytuacja gwarantuje wybuch epidemii.

Od ponad dwóch lat Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania wywożąc śmieci na teren zwirowni przy ulicy Marmurowej, w oczywisty sposób łamie prawo. Wysypisko to jest nielegalne. Wydział Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Miasta Łodzi nigdy nie wyraził zgody na składowanie tam setek tysięcy ton nieczystości organicznych. W 1973 roku zezwolono jedynie zasypywać doły gruzem budowlanym, ziemią i zmiotkami ulicznymi. Ekspertyzy hydrogeologiczne potwierdzają bowiem niebezpieczeństwo skażenia wód podziemnych toksynami wydzielającymi się z gnijących odpadów komunalnych. Pod dzikim wysypiskiem zalegają obfite źródła warstw wodonośnych, z których czerpią wodę pitną mieszkańcy aglomeracji. Dlatego jawnemu brakowi wyobraźni stanowczo sprzeciwia się Tere-

226 metrów nad poziom morza, gdyby nie mieszkańcy dzielnicy. W lipcu 1985 roku po latach skarg na przepaźnię i cuchnące sąsiedztwo, żywym murem zagrodzili wjazd do wysypiska. Wtedy właśnie władze miasta wydały decyzję ratunkową: jechać na Marmurową. Było to polecenie tymczasowe — ale obowiązujące do dziś. Wysypisko Józefów zostało zamknięte.

Zanim do tego doszło — a dożyć musiałoby — miasto nie zadbało o nowy, odpowiednio przygotowany teren pod składowanie swoich nieczystości. Co prawda w 1974 roku w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego powstał wielce szczytny program oczyszczania Łodzi i województwa, lecz nie znalazł on finansowego wsparcia. W programie tym pod hasłem „Wysypisko Palczew” czytamy:

„Odpady składowane będą warstwowo, zagęszczane i przykrywane warstwą ziemi izolacyjnej. Składowanie odbywać się będzie początkowo w wyrobiskach, a następnie metodą nadpoziomową w przykrytych terenach. Składowanie odpadów będzie ogrodzone i otoczone pasami zieleni izolacyjnej. Do wysypiska zaprojektowano drogę dojazdową, linię elektryczną, telefoniczną i wodociagową. Ścieki odprowadzane będą do zbiornika bezodpływowego, skąd wypłuczone będą na wysypisko lub do oczyszczalni ścieków”.

Plan przestrzennego zagospodarowania województwa, przyjęty w 1977 roku przez Radę Narodową Miasta Łodzi, oficjalnie wytyczał Palczew na nowe wysypisko odpadów komunalnych. Rok później Gminna Rada Narodowa w Brójcach, na terenie której leży palczewska zwirownia, otworzyła drogę łódzkiej śmierci. Był już najwyższy czas, by posadzić drzewa w strefie ochronnej i zacząć budować drogę do przyszłego wysypiska, zanim przepełni się „Józefów” i miasto obudzi się z ręką w nocniku.

Ale przez sześć kolejnych lat nie zainwestowano w wieś ani złotówki.

Mocno się wszakże zdziwiono w Łodzi, gdy nowi radni

działy ciągników, kucharki na gaz z buzi dla tych, którzy mają w domach wentylację i oświetlenie spełnienia reszty umowy do 1982 roku. W ślad za obietnicami postano do radczego ekipy instalatorskie MPO.

Alle chłopci postawili barykady.

Barykady wyrastają tam, gdzie nie ma wiary.

Nie wierzy Tadeusz Sikorski przewodniczący rady sołectkiej, bo się parę już razy ostro naciął. Od lat walczy o zwykły chleb, by go rano przywożono do sklepu, ale niczego nie wywalczył. Śmieci chcą przywozić, a chleba — nie. Chleb chcą zabierać. No bo wszystko, co wyróżnie obok wysypiska, zetrą szczury albo ptaki. Z zatrutych pastwisk będzie zatrute mleko. Kto da wiara, że w Palczewie będzie lepiej niż przy Marmurowej. Nikt. Przecież Łódź już zaraz musi gdzieś wypchnąć swoje brudy, a trzeba długich lat starań, by większą zwirownię jako tako przygotować. Drzewa na przykład w dwa miesiące nie urosną.

Obietnicom władzy Sikorski też nie da wiary. Z obietnicami może być tak samo, jak z czerwonym autobusem. Miał jechać do Palczewa, a pojechał gdzieś indziej — do Brójec. Według Sikorskiego zabrala go sobie gmina, bo władza gminna mieszka w mieście Łodzi i lubi wygodnie dojeżdżać do urzędu. Sto głów zgodnie przytakuje Sikorskiemu:

— Prawdę mówię, gminą rządzi klika. Naczelnika, co od dziesięciu lat urząd sprawuje, pół wsi na oczy nie widział. Teraz przyjeżdża z milicjantami.

Nie da wiary Stanisław Gondzio, bo go znowu oszukają. Na sesję gminnej rady go nie zaproszą, żeby niecne sprawki uchwalił po cichu. A radny Gondzio może opowiedzieć, jak to było z tą zgodą na wysypisko. Ano było tak: zebrała się Rada Narodowa rolniczej gminy, a w niej tylko paru prawdziwych chłopów od pluga. Inni zaś od dawna miastowi — tamtejsi władcy zaufani ludzie — to i przyzwolili na miejskie wysypisko. Sto głów zgodnie przytakuje radnemu:

— Nie ma u nas poszanowania dla chłopca, nie ma w gminie gospodarza.

Milczy Kazimierz Toma, kiedy pokazuje pola i łąki przy wysypisku. Las jeszcze zielony, z ziemi tryskają źródła. Przy źródle stoi stoik, można się tej wody śmiało napić. Wszystko na zatracenie.



Rys. Stawomir Łuczyński



Śmierć w lunaparku

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Zjeżdżalnia „Tobogan” z daleka sprawia wrażenie konstrukcji bardzo prostej i bezpiecznej; to jakby drewniana zamkowa wieża ze schodami wewnątrz i wijącą się ze szczytu plastikową rynną. Zabawa jest świetna! Pan sprawdził ci bilet, łapiasz potem szybko za filcową „wycieraczkę” i gnasz po stopniach na górny pomost. Stąd posyłasz triumfalny uśmiech czekającym na dole rodzicom, siadasz na dywaniku i — szusujesz w dół niczym saneczką po lodowym torze. Aha, jeszcze tylko pamiętać trzeba, że nie wolno zjeżdżać na stojąco i wychylać się z toru — tak jest napisane w wywieszonym na dole regulaminie.

Tomek jest chłopcem grzecznym, zdyscyplinowanym, ma trzynaście lat i nie trzeba mu czytać zasad regulaminu jak jakimś maluchowi. Przed chwilą rozpoczął zjazd jego starszy brat — Krzysztof. Teraz jego kolej.

Jest już na górze, macha ręką, siada na kawałku filcu. Rusza. Może minęło pół sekundy, może mniej? Chłopiec jest jeszcze na wysokości sześciu, może siedmiu metrów, gdy wypada plastikowy element rynny i wraz z Tomkiem wali na betonowe płyty podłoża. W zachmurzone niebo bije czyjś krzyk: — *ezus, Maria!*...

Dwa dni wcześniej łódzka popołudniówka, na marginesie wypadku w warszawskim lunaparku, zamieściła wyjaśnienie dyrekcji łódzkiego oddziału Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, która to dyrekcja wszystkich zapewniała, „że cały sprzęt w lunaparku (łódzkim — przyp. D.D.) ma aktualne ekspertyzy techniczne pozwalające na jego eksploatację”. Co więcej — kierownik działu technicznego w lunaparku tłumaczy, że jakiegokolwiek specjalne przeglądy urządzeń nie są potrzebne, bowiem „przebiegi prowadzimy zgodnie z wcześniej nakreślonym planem i te nie wykazywały niedopatrzeń”...

Poniedziałek też wstał mglisty i deszczowy. Przed szeroką bramą za Zdrowem kilku chłopaków zabija ręce, sylabizują podniszczony napis głoszący, iż lunapark dziś nieczynny. Rozglądają się zdziwieni, obok sprzedawca pićczek na gumce i plastikowych pistoletów leniwie rozkłada swój kram, z dezaprobatą zerkając po wyludnionych alejkach. Forsuje bramę.

Nie jestem tu dziś mile widzianym gościem. Pusto, cicho i powtarzający się tekst: — *Kierownika nie ma, ja nie wiem...*

Urządzenie „Tobogan” znajduje sam. W plastikowym torze ktoś umieścił tablicę z napisem „Remont”. Myślę jednak, że jeszcze przez jakiś czas nikt do niego nie przystąpi, przynajmniej do czasu wizyty ekspertów z zakresu kryminalistyki... Nad głową zjeżdża makabryczna wyrwa w pomarańczowej rynnie. Ślady na płytach wskazują miejsce, gdzie z wysokości około siedmiu metrów runął Tomek. Chłopiec nie przeżył upadku, do szpitala imienia Barlickiego przewieziony został w stanie agonii, wkrótce lekarze stwierdzili zgon.

Z bliskiej odległości nieszczesny „Tobogan” sprawia przytłaczające wrażenie: odrapany, z liszajami odłazającej farby, podziurawiona rynna, była jak zasmarowana żywica. Zresztą nie tylko ta jedna zjeżdżalnia tak się prezentuje; urządzenia w najbliższym sąsiedztwie też dawno pękały i farby nie widziały.

Jakiś ruch przy bramie. Aha, jest telewizja, z niezawodnym redaktorem Wiesławem, jest także kierownik lunaparku, a także goście z poleśkiego urzędu spraw wewnętrznych. Stary wyjadacz Król kłeka z kamerą — poszło! Telewizjom opowiada o wypadku starszy chorąży Andrzej Kowalski, a mnie przerażenie pod-

nosi włosy na głowie. Element plastikowej rynny praktycznie w ogóle w swej górnej części nie był przymocowany! Słyszę też o fatalnym stanie innych urządzeń, między innymi drugiej, jeszcze prostszej zjeżdżalni o nazwie „Fala”, przy której niektóre elementy były poskręcane zamiast śrub — drutem...

Próbuję choć kilka słów zamienić z kierownikiem lunaparku — Zygmuntem Brzozowskim. Zdenerwowany, pobladły tłumaczy, że jego w

niedziela nie było, więc nie zna wszystkich szczegółów wypadku...

— Panie kierowniku, łódzki lunapark uważany był za bezpieczny...

— *Bo rzeczywiście nie mieliśmy przez wiele lat żadnych wypadków...*

— A ten człowiek, co bodaj trzy lata temu wypadł z kolejki górskiej?

— To była tylko i wyłącznie jego wina, był pijany, odpiął pas — no i wyleciał...



Foto: Konrad Turowski

— Dlaczego ta duża karuzela łańcuchowa obok jest rozmontowana? W ogóle nie pracuje?

— Teraz nie pracuje, bo okazało się, że ma wadę konstrukcyjną, za bardzo się krzeselka wychylają...

— To znaczy, że kiedyś pracowała?

— Owszem, ponad rok...

— Ma pan do dyspozycji kilkunastu pracowników Czy — pomijając teraz ekspertyzy techniczne sprzętu — nie można zadbać o estetyczny wygląd tych wszystkich urządzeń?

— No, wie pan, mamy w tym roku około 3 milionów deficytu...

I nie dowiedziałem się jakim cudem osiągnięto takie zaskakujące bądź co bądź wyniki, gdyż pan kierownik musiał się udać do stosownego rejonowego urzędu. Wierzę, że dokończenie tej rozmowy jednak nastąpi.

Decyduję się pojechać do Proboszczewic, gdzie mieszkał Tomek, gdzie — być może — zastanę rodziców. Decyduję się, choć wiem, że będzie to jedna z najcięższych rozmów, jakie przeprowadzałem w życiu.

Nie zastałem nikogo. Niewielki, szary domek stoł cichy w obfitej zieleni trzew i krzewów, nikogo nie wywołuje na zewnątrz natarczywy sygnał dzwonka przy furtce. Zapewne wszyscy w Łodzi, może w szpitalu. W ogrodzie obok hałasuje pies, po chwili uchyla się ciężka — brama.

— Nie, nie widziałam ich dzisiaj, a dlaczego? — sąsiadka jest zaskoczona, o nieszczęściu dowiaduje się ode mnie, stara się nie okazać słabości przed obcym, choć lzy same się cisną do oczu. Nie wstydzę się ich natomiast pani Teresa Olejniczak, listonoszka, która już osiemnaście lat odwiedza tu wszystkich po kolei z listem, rentą, telegramem.

— Niech pan już jedzie... — wargi jej drżą, odwraca zażalwione oczy — nie mogę o tym mówić... tacy spokojni, grzeczni chłopcy, i Krzysztof, i Tomek... Ale to makabryczna historia żeby nie można było bezpiecznie w wesołym miasteczku odpocząć?...

Zastępca szefa poleskiej prokuratury — prokurator Regina Krzywiec doradza odrobinę cierpliwości.

— Za wcześniej na jakiegokolwiek ogólniejsze opinie, działa specjalna komisja ekspertów Zakładu protokołów — według których stan wszędzie w Warszawie. Nawiasem mówiąc, ci sami, którzy kilka dni temu zajmowali się wypadkiem w lunaparku w stolicy. Trwają rozmowy z podejrzany...

— W jaki sposób zostaną najprawdopodobniej sformułowane zarzuty?

— W grę wchodzić będzie zapewne niedopełnienie obowiązków właściciela sprawdzenia stanu technicznego i konserwacji zjeżdżalni typu „Tobogan” i — w konsekwencji — dopuszczenie do jej użytkowania bez należytego umocowania rynnę zjazdowej.

Istnieją przecież cotygodniowe protokoły, z których wynika — przynajmniej teoretycznie — jeśli nie dbałość o stan urządzeń lunaparku, to przynajmniej fakt ich obejrzenia przez komisję.

— To na razie też tylko teoria. Protokoły są, podpisy osób do tych prac powołanych — również, łącznie ze specjalistami do spraw bhp i ppoż, ale to przecież dopiero początek dochodzeniowo-śledczych czynności.

Znaków zapytania jest sporo. Bo dla przykładu protokoły — według których stan wszystkich urządzeń był nienaganny — z dnia 6 i 13 lipca istnieją, a ten z dnia 20 lipca — gdzieś się zagubił, czyli — zniknął. Inna ciekawostka: protokół z dnia 30 maja br., będący efektem dwudniowych oględzin wszystkich urządzeń lunaparku, kiedy w grę wchodziło ich dalsze dopuszczenie do eksploatacji. W stosownej rubryce dotyczącej zjeżdżalni „Tobogan” czytamy: „Bez uwag. Estetyka bardzo dobra”. Zwłaszcza ten drugi komplement szkodzi, gdy ktoś widział ów piękny „Tobogan” z bliska; w dwa miesiące strasznie się zestarzał, śruby wypadały, a farba ze wstydu odlażyła? Innym karuzelom również nic nie dolega, wszystkie są w stanie bardzo dobrym, również pod względem estetycznym.

W dwa dni po tragedii w lunaparku lokalna popołudniówka znów powróciła do tematu w informacji pod wielce ciekawym tytułem: „W papierach wszystko było w porządku”. A w nim między innymi żenujący opis szperania się dyrektora oddziału Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych w Łodzi z uszkodzoną zjeżdżalnią. Ta — według relacji autora — oparła się dyrektorowi, który nadal uważa, że jest to najbezpieczniejsze urządzenie w całym lunaparku. Jakoś tej odwagi i samozaparcia nie przejawiali eksperci, którzy oględzin woleli dokonać wykorzystując specjalistyczne podnośniki... straży pożarnej. Stwierdzono też podczas tych prac, iż co najmniej jeden jeszcze 150-centymetrowej długości plastikowy element rynnę trzyma się dosłownie na jednym gwoździu...

I choć „w papierach wszystko było w porządku” w minioną środę decyzją prokuratury 48-letni Sławomir K. — kierownik działu technicznego, został tymczasowo aresztowany, zaś postępowanie w sprawie wypadku w łódzkim lunaparku przejęli specjaliści z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, gdzie też powołano w tym celu grupę dochodzeniowo-śledczą.

Wreszcie — radykalne „cięcie” podjęte przez ministra kultury i sztuki: polecenie natychmiastowego zawieszenia działalności wszystkich urządzeń lunaparkowych poległych Zjednoczonym Przedsiębiorstwom Rozrywkowym do czasu zakończenia przeglądu technicznego ich stanu. Oceny stanu bezpieczeństwa i prawidłowego funkcjonowania wszystkich karuzeli, zjeżdżalni i górskich kolejek dokona specjalnie w tym celu powołana komisja...

Sprawa już nie tylko wypadku, ale funkcjonowania łódzkiego lunaparku jest, jak to określała milicyjni specjaliści — rozwojowa. I w miarę rozwoju wydarzeń będziemy o wszystkim informowali Czytelników. A dzieci na wycieczkę lepiej zabrać do Ogrodu Botanicznego. Dla ich własnego bezpieczeństwa...

Ten, co zbliżył się do stolika poszkodowanych i żywił do Pistola urazę, był niskim, czterdziesto- paroletnim, ostrzy- żonym przy samej skórze blondynkiem o wdzianym pseudo- nimie Sprężyna. Niekwestio- nowaną sławę zdobył Sprężyna w Łodzi już kilkanaście lat temu. Zawdzięczał ją nie tyle tężyznie fizycznej, której mimo niskiego wzrostu wcale mu nie brako- wało, co odwadze, zawziętości i wielce przemysłowemu sposobowi walczenia. Był odporny na ciosy i kopniaki, i niebawem wredny — padł na przykład w bóje, podnosił się z grymasem serdecznego bólu, podbie- gał szarmancko do przeciwnika i podając mu rękę mówił:

Zamówił wino i otworzył przede mną serce.

Pistol

REMIGIUSZ CAŁOPALEK

(2)

— Starczy. Jesteś lepszy. Wy- grałeś.

Przeciwnik potrząsał prawicą Sprężyny ze wzruszeniem i tak znakomity i sławny kawaler ustępuje mu pola. Ale kiedy odwracał się, aby odejść, Spre- żyna skakał mu kotem na plec- cy, wbił szpony we włosy i powalał na ziemię, aby dokoń- czyć dzieła obcasami.

Sprężynie dobrze patrzyło z oczu, a uśmiech miał szczer- y i przyjazny, dzięki czemu nar- wało się na niego wielu do- świadczonego wojownika. Był, jako i ja, starym kawalerem. Przejawiał pewne snobizmy. Niezłe śpiewał i brząkał na gi- tarze, ganił się do artystów, lecz prawdziwą jego miłością byli ludzie bogaci i tym wła- śnie trzeba wytłumaczyć fakt, iż w Sylwestra sprzymierzył się z nimi przeciw Pistolowi.

Usiadł, rzecz jasna, przy ich stole i nie opuszczał go od tej pory, chyba że potrzebował za- tańczyć ze swoją stoczerdziastą którą traktował ozięble i szor- stko. Pil z umiarem wiedząc, że z narzeczoną, dziewuszką ład- nym, ale bez ochyby głupim, czeka go jeszcze praca. Od cza- su do czasu rzucił Pistolowi powłóczyście spojrzenie, ten zaś odpowiadał mu w podobny spo- sób. Znali się oczywiście. Kie- dyś już skrzyżowali pięści. Po- wiedziano mi później, że był to

pojedynek nie rozstrzygnięty, te- raz dopiero mieli go rozstrzy- gnąć, nie widać po nich było jednak strachu i zdenerwowa- nia.

Towarzystwo wykruśzało się z wolna. O piątej nad ranem w sali pozostało tylko kilkadziesiąt osób — wszyscy przykładnie skuci i wyswiechtani jak bieliz- na pościelowa w podłym ho- telu. Miałem wielką ochotę iść do domu, bolała mnie głowa i żołądek, ponadto nie mogłem już znieść gwałtowności mojej uro- czej partnerki, która zdawała się delikatnie sugerować, że gdybym ją zgłosił do konkursu piękności, też nie byłaby bez szans.

Odetchnąłem, kiedy poderwa- ła sobie jednego z orkiestr- nych.

— Zaczeka! — Na co? — Muszę z tobą pogadać. — Nie mam czasu. Zadzwoń do mnie w środę, Sprężyna, tak?

Blondynek zbliżył się do Pi- stola na odległość dwóch me- trów. Był w samym tylko gar- niturze, kożuch trzymał mu jedna z pań. Machnął nieoczeki- wanie ręką, jakby odpuszczał dyskusję i chciał odejść; wyko- nał pół obrotu i nagle, w mo- mencie, kiedy kibicujące mu to- warzystwo wydało szmer deza- probaty, dał nura w śnieg z ambitnym zamiarem pochwycenia Pistola na nogi. Lewa dłoń, rozczapiona jak u koszy- karza, trafiła celu, prawa jed- nak spóźniła się trochę, jako że Pistol cofnął w porę nogę o krok, a skoro już cofnął, wypa- dało zrobić z niej użytek, kop- nął zatem napastnika w brodę, nie wkładając w to jednakże siły i pasji.

— Zatańczyła z nim tango, bo koledzy dał mu wolne, a potem wróciła do mnie i powiada: — Za rok on zacznie grać w kanale.

— Gdzie? — Myślałam, że jako inteli- gentny człowiek będziesz wie- dział, co to znaczy.

— Skąd ci przyszło do głowy, że jestem inteligentnym czło- wiekiem?

— Wydrukowałeś przecież dwa lata temu w „Odgłosach” artykuł. Podobno głupi, ale ga- zeta to gazeta.

Dźwignęła mnie, krótko mó- wiąc, na duchu. Zaczęła nawi- jać tonem pewnym siebie i zrędlwym, że dopóki muzyk jest młody, może grać na e- stradzie, ale kiedy stuknie mu pięćdziesiątka, kiedy wyłysieje i straci na urodzie, bardziej od estrady przystaje mu orkiestro- wy kanał w operze albo tea- trze muzycznym.

Słuchałem tego jednym u- chem widząc, że zwaśnione obo- zy przedsięwzięcia zbierają się do wyjścia. Sprężyna wykonał znaczący, powolny ruch głową w stronę Pistola. Aczkolwiek przypominało to zaproszenie na

parkiet, powiało grozą. Chiód poczułem na plecach.

— Baw się! — powiedziałem do swojej uroczej towarzyski i wybiegłem.

Tamci opuścili już szatnię. O- debrałem kożuch i ruszyłem przez szerokie drzwi na ośnie- żony dziedziniec. Stały tam dwie grupy elegancko ubranych mężczyzn i kobiet, a oparty o bramę cieć w uniformie palił papierosa i obserwował arenę z satysfakcją i estymą, która zda- wała się akcentować, iż co jak co, ale po milicję to on nie za- dzwoni.

Było cicho, czasem tylko roz- legł się szept. Atmosfera ry- pominała pojedynki szlacheckie z minionego wieku. Pistol ubez- pieczony z tyłu przez żonę od- wrócił się twarzą do ulicy, na którą byłby wyszedł w charak- terze dezertera, ale dogonił go głos Sprężyny.

— Zaczeka! — Na co? — Muszę z tobą pogadać. — Nie mam czasu. Zadzwoń do mnie w środę, Sprężyna, tak?

Blondynek zbliżył się do Pi- stola na odległość dwóch me- trów. Był w samym tylko gar- niturze, kożuch trzymał mu jedna z pań. Machnął nieoczeki- wanie ręką, jakby odpuszczał dyskusję i chciał odejść; wyko- nał pół obrotu i nagle, w mo- mencie, kiedy kibicujące mu to- warzystwo wydało szmer deza- probaty, dał nura w śnieg z ambitnym zamiarem pochwycenia Pistola na nogi. Lewa dłoń, rozczapiona jak u koszy- karza, trafiła celu, prawa jed- nak spóźniła się trochę, jako że Pistol cofnął w porę nogę o krok, a skoro już cofnął, wypa- dało zrobić z niej użytek, kop- nął zatem napastnika w brodę, nie wkładając w to jednakże siły i pasji.

Powiedział z wyrzutem: — Przystań się wygłupiać, Sprężyna.

Wszelako dotknięty na hono- rze blondynek ponowił atak szarżując Pistolą pięściami i fu- kając nosem dla dodania sobie animuszu. Była to szarża od- ważna i desperacka, ale z góry skazana na klęskę. Od czasu ich ostatniej potyczki Pistol rozrósł się i zniechęcił, Sprężyna zaś, choć wyglądał młodo i wdziać, był jak gdyby tro- chę zardzewiały, trochę jakby chudszy i mniejszy, co dowo- dnie świadczyło, że w średnim wieku wojownik powinien mieć dom, żonę i tłustą kuchnię za- miast jadać pierogi w barach miecznych.

Pacnął Pistol Sprężynę spo- dem ręki w czoło i napastnik wrócił w śnieg. Podniósł się tak gwałtownie, że trzasnęła mu pod pachami marynarka, co wywołało w obu wrogich obo- zach falę zdrowej i hałaśliwej wesołości. Śmiała się nawet nar- zeczona Sprężyny, a wtórzyła jej długimi seriami trudnych do opisanja języków wicemiss z groźnym nochem.

Fakt, że blondyn wyglądał komicznie. Biel koszuła ziała przez dziurę jak na manekinie u krawca. Zapewne nie miał innej marynarki, więc żał mi go było, kiedy tak stał z opu- szczonymi ramionami, z luną wstydu na licach.

W życiu liczą się właśnie zwycięzcy. Podejrzałem, że Pi- stol zaimponował nie tylko swoim, lecz i wrogom. Sądzę również, że gdyby Sprężyna po- hamował w tym momencie bo- jowe zapędy, sprawa nie mia- łaby dalszego toku.

Gdzie tam! Uczepiony resztek nadziei blondyn postanowił wy- konać koleżeński ruch.

— W porządku — rzekł pod- chodząc do Pistola z wycią- gniętą prawą ręką, że to niby zawody skończone i czas rozejść się do domu.

Pistol pospieszył z prawicą, lecz w ostatnim momencie zam- knął kiść Sprężyny w żelaznym uścisku lewej dłoni, a prawą, zwiniętą w pięść rąbnął go, tym razem z całej siły, w maskę. Sprężyna byłby znowu upadł, ale Pistol bo podtrzymał. W Pistolu najwyraźniej zbierała furia. Ponownie rąbnął Spręży- nę między oczy, po czym roz- kwaśił mu straszliwym uderze- niem wargi i dopiero wtedy złożył go na śniegu.

Kiedy jeszcze raz wyciągnęły się ku nogom Pistola szpony leżącego, usłyszałem jakieś nie- głosne wilcze wycie. Dopiero po chwili zrozumiałem, że wydoby- wa się ono z piersi silacza, któ- rego furia przeszła w istne sza- leństwo. Kopnął Sprężynę pod-

biciem, przeskoczył go i zaczął maltretować przedsięwzięcia. Tłukł ich, walił i młócił, żeby rozładować sprawiedliwy gniew. Padł na ziemię mąż wielkro- lowej balu, a zaraz po nim omdlał pod pięścią Pistola inny przywaciarz.

— Nie podpuszczaj frajerów i nie wchodź mi w parę, gnojku! — wrzeszczał, podbiega- jąc do zaawansowanego wie- kiem osobnika, aby wyżyć się do kresu. Łu-bu-du, łu-bu-du, łu-bu-du! Czerep zaatakowane- go odskakiwał od pięści jak pił- ka na gumce, a gumka było w tym wypadku ramię, przy po- mocy którego Pistol utrzymywał biedaka w pozycji stojącej. O- fiara dawno już straciła przy- tomność, Pistol jednak ciągle ją masakrował. Był w amoku i zabijał prawdopodobnie Bogu ducha winnego nieszczęśliwca. Jeśli do tego nie doszło, to ty- lko dzięki Pistolowej, która, wy- straszona okropnie, postanowiła zmiłogować męża. Złapała go za rękaw i zawyla rozdzierająco:

— Zwarowałeś, bandziorze?! Przestań!

Pistol ripostował natychmiast. Tak jest, proszę państwa! U- derzył rodziną żonę i to ude- rzył bez taryfy ulgowej. Nim posunęła w śnieg, szybowała parę metrów w powietrzu, a potem nosiła szczękę na dru- tach.

4.

W kwietniu bieżącego roku najechał na mnie późną porą w kawiarni młody żul o nik- czemnej facjacie. Będąc czło- wiekiem samotnym nie stronił od lokali rozrywkowych z na- dzieją, że wcześniej czy później znajdzie sobie towarzyszkę życia. Wyznałem niczym nie uzasadnio- ną opinię, że kawiarnie są spo- kojniejsze od restauracji, a wie- czorem i tak wszędzie grają i można potańczyć.

Tańczyć kiepsko, ze staromod- nym podrygiem. Nim poproszę kobietę na parkiet, poczę się zdenerwowania, trema zaś wią- że mi język do tego stopnia, że mówię jak ostatni frajer zają- kując się co drugie słowo. Tak czy owak, przezwyciężam nie- śmiałość i próbuję, szczególnie jeśli grają tango albo walca albo jakiś prosty kawałek w wolnym tempie.

Zatańczyłem zatem w kwiet- niu, w rzeczonej kawiarni, trzy- krotnie z jedną i tą samą dzie- wczyną, która tkwiła smutnie przy stoliku w asyście koleżan- ki. No a potem, kiedy odszed- dłem do toalety, pchnął mnie na ścianę ten żul i powiada:

— Cwaniaczek jesteś, tak?

— Czemu?

— Kleisz się do cudzej wie- dzy.

— Pan z nią chodzi? — zapy- tałem.

— Nie, ale mam zamiar.

Były to ostatnie słowa, jakie na mnie wypuścił, bo zaraz po- tem dostał w dół. Pistol go uderzył. Przyznam, że zrobiło to na mnie wrażenie.

— Tam, gdzie ja jestem, ma być spokój — oświadczył — a nie, to w ryj! — I do mnie: — chodź pan!

— Gdzie?

— Usiąść.

Miło wrócić z takim gościem na salę. Podszedł do stolika, przy którym siedziała wiewiöra z tą drugą, i w te słowa:

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Skoro jeżeli nie ma miejsc, to chyba wolno zająć te krze- śła?

Pani kiwnęły głowami z u- miarkowanym entuzjazmem. Ponieważ nie wydały głosu, Pi- stol powtórzył z akcentem:

— Wolno czy nie wolno?

— Wolno — powiedziała z westchnieniem wiewiöra.

Wzięła torebkę, ta druga też. Wyszły i już nie wróciły, czego nie żałowałem, gdyż Pistol za- mówił wino i otworzył przede mną serce.



Mówi: Stanisław Ibis - Gratkowski

— Uprawiasz różne rodzaje grafiki, ale tak naprawdę kim się czujesz?

— Trudno dać na to jednoznaczną odpowiedź. W gruncie rze- czy czuję się karykaturzystą portretowym. Jest to w tej chwili główne moje zainteresowanie.

— Wykonałeś setki, a może tysiące karykatur ludzi sławnych i mniej sławnych. Z wieloma z nich odbyłeś długie rozmowy. Czy nie korci cię, by te rozmowy wraz z portretami wydać w postaci książki?

— Rysowałem setki znanych ludzi, a karykatur w ogóle wy- konałem parę tysięcy. Nie wszyscy, których rysowałem, byli zna- komici i karykatury także nie wszystkie były dobre. Są kary- katury lepsze i gorsze, tak jak i modele. Jasną jest rzeczą, że po latach następuje próba bilansu. Najpierw w świadomości twórcy, potem chciałoby się ów bilans zmaterializować. Idea- lem byłoby wydanie książki, bo one są, jak dowodzi prakty- ka, wieczne i najdłużej trwają w czasie. Ostatnio przeprowadzi- łem rozmowę z Krajową Agencją Wydawniczą i mam nadzieję, że znajdzie ona pozytywny finał.

— Jak widzisz taką książkę?

— Chciałbym to zrobić tak, żeby znalazło się w niej 200 bardzo znanych ludzi, których spotkałem, a którzy w świadom- łości Polaków zapisali się na trwałe. Te spotkania chcę w tej książce opisać, natomiast na drugiej stronie pragnąłbym u- mieścić całostronicową karykaturę. Bo ja, jak wiesz, rysuję nie tylko głowy, ale całą sylwetkę, cały entourage, całe otoczenie człowieka. Jest to może staroświeckie, ale uważam, że to wzbog- aca sylwetki rysowanych przez mnie ludzi. Bowiem w rysunku także można pokazać jakiś anegdota.

— Można więc powiedzieć, że na swój sposób zapisujesz his- torię.

— Każdy jest w jakimś stopniu historykiem życia, a ja zna- lazałem się w tej szczególnej sytuacji, że miałem pretekst dojs- cia do ludzi bardzo różnych, często bardzo wybitnych, z który- mi nie łączyły mnie te główne interesy (np. byłem studentem UL i słuchałem wykładów logiki prof. Tadeusza Kotarbińskiego, ale podkreślałem, byłem tylko studentem. Natomiast zetkną- łem się z nim na płaszczyźnie innej: to ja występowałem jako „profesor” karykatury, a on był „studentem” modelem). Co prawda takie spotkania, to zbyt mały odcinek kontekstu, ale pozwoili mi on na spotkanie się z wybitnymi aktorami, pisa- rzami itp.

— Kogo z „wielkich” rysowałeś?

— Było ich wielu i zaczęło się to bardzo dawno, gdy rysowa- łem swoje pierwsze karykatury ludzi wybitnych: m.in. Zofii Nałkowskiej, Władysława Broniewskiego, Artura Sandaera czy Władysława Strzemińskiego, który był moim profesorem. Wiele z nich rysowałem na zamówienie, choć zamówienia nieraz prze- rastają moje możliwości, bo byłem wówczas bardzo młody. Co prawda wiedziałem czego chcę, ale trzeba było lat pracy, by osiągnąć tzw. warsztat.

— Powiedz, Słasku, jaka była twoja droga jako artysty?

— Zaczęło się bardzo skromnie. Po wojnie w 1947 roku roz- począłem studia w Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych i już w czasie studiów grono przyjaciół umożliwiło mi współpracę z prasą, konkretnie z „Kurierem Popularnym” w Łodzi. Rysunek satyryczny jest właściwie peryferyjną dziedziną sztuki, więc mniej zwraca się uwagi na doskonałość formy, a więcej na treść. Jest to więc w jakimś sensie dziennikarski komentarz do życia.

— Ja natomiast zawsze cię pamiętam, jako pracownika „Ka- ruzeli”...

— Z „Karuzela” pracuję od 1957 r., to znaczy od czasu jej powstania. Miałem wtedy już dziesięcioletni dorobek, więc nie byłem w branży nowicjuszem. Etat otrzymałem w 1958 r. Mu- szę powiedzieć, że „Karuzela” odegrała ogromną rolę w moim życiu. „Karuzela” skorzystała z mojej w niej pracy, a ja sko- rzystałem z tego, że od 30 lat jestem z nią związany. Była ona bowiem dla mnie warsztatem i w niej wiele się uczyłem i nau- czyłem. Kiedy w roku ubiegłym ciężko zachorowałem i przez pół roku byłem nieobecny na łamach pisma, czytelnicy to od razu zauważyli pisząc do redakcji i pytając: co się dzieje z Ibisem — Gratkowskim?

— Często rysujesz karykatury polityków, mężów stanu, ludzi znanych w świecie. Prywatnie zaś wykonujesz konterfity zna- jomych i przyjaciół. A czy zdarzyło się, że musiałeś rysować portret kogoś, kogo nie lubisz?

— Nie mam tak ogromnego serca, by kochać wszystkich, nie jestem świętym Franciszkiem. Oczywiście zdarzało się, że by- ły dni kiedy musiałem rysować takich ludzi. I rysowałem. Ale każdy z nas ma swoją czarną listę ludzi, których nie lubi.

— Czyli górę brał artysta nad człowiekiem... A co uważasz za swój największy sukces?

— Jest on jeszcze przede mną.

— A parafki?

— Wiele rzeczy powstaje w samotności, kiedy człowiek sam ze sobą się zmagą. Natomiast zawsze bardzo przeżywa sytuac- je, gdy rysuję na gorąco. Z reguły w takich przypadkach po- zostawiam sobie furtkę wyjścia, mówię do modela, że są to warunki bojowe, że tu się strzela z bobra karykaturę, i że może nastąpić niewypał. Przecież nawet najwybitniejsi karykaturzyści mieli swoje wielkie osiągnięcia, ale i mieli takie prace, który- mi woleliby się nie chwalić.

— Ale karykatura, to przecież portret...

— Ale przejraskawiony. Jest takie powiedzenie u Hegla, że dobry portret winien być bardziej podobny do indywidualu niż do indywidualu samo do siebie. Polski portrecista Lenz, kiedy mu klient grymasił, że nie jest na rysunku podobny, mawiał: — Co znaczy niepodobny? To pan sam jesteś do siebie niepodobny!

— Wiele ludzi zajmuje się rysunkiem, natomiast przyna- mniej w Łodzi, nie ma nikogo, kto uprawiałby karykaturę por- tretową. Gdzie w takim razie są twoi następcy?

— W Polsce nigdy nie było za wiele karykaturzystów portre- towych. Można ich było zawsze policzyć na palcach jednej ręki. Istotnie, nie widzę w Łodzi następcy, ale jeśli się pojawi, powitam go z radością.

— Co cię fascynuje i pasjonuje?

— Kobiety i historia.

— A czy do kolekcji twoich tytułów nie doszedł tytuł dziadka?

— Nie i to mnie cieszy. Ciągłe trwam w wieku prawdziwej męskości.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

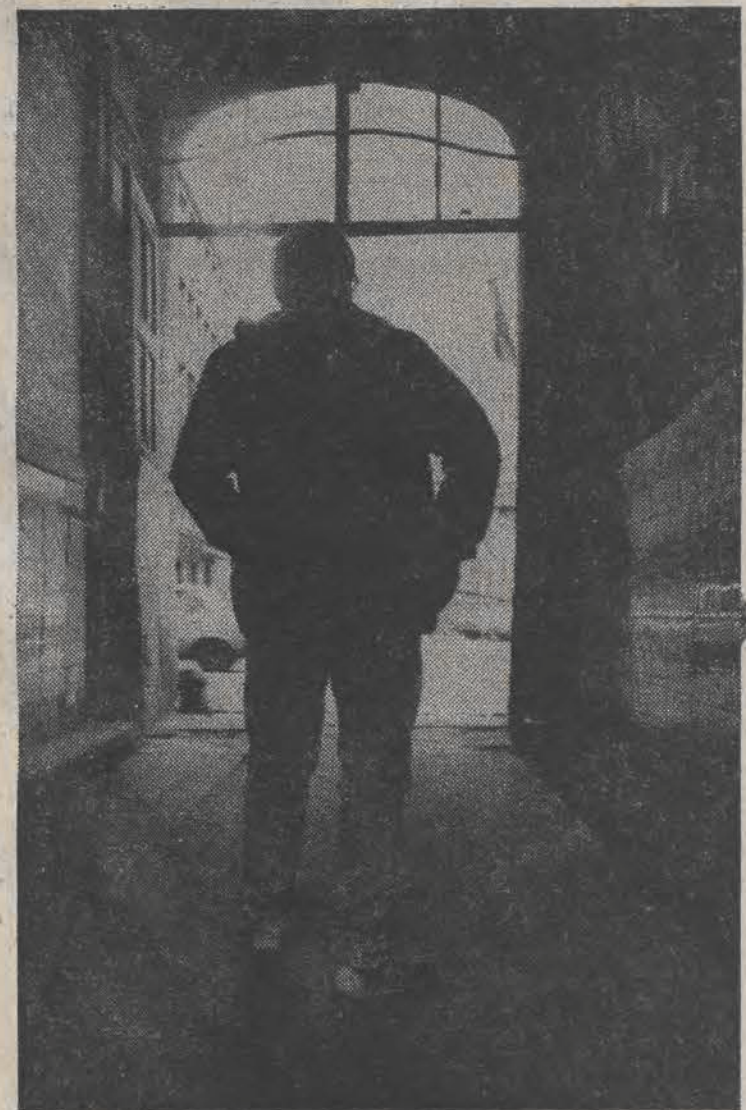


Foto: Witold Werner

Młodzi pisarze radzieccy w Łodzi

W dniach 25 i 26 sierpnia w Łodzi — Związek Literatów Polskich zorganizował „Dni Młodej Literatury Radzieckiej” z okazji 70-lecia Wielkiego Października. Swój szczególny wkład w tym sympozjum miał oddział łódzki TPPR oraz Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, dzięki którym mogli się odbyć spotkania pisarzy radzieckich z łódzkim środowiskiem literackim. Z pewnością literacka młodzież z wielu republik będzie miłe wspominać rozmowy i wymianę doświadczeń, a także poglądów na sprawy bieżące, dotyczące nie tylko literatury, jakie miały miejsce w oddziale łódzkim Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich, które zrobiło wszystko, aby podjąć radzieckich młodych literatów ze znaną staropolską gościnnością. Jak na wielonarodową delegację przystało — rozmowy toczyły się w kilku językach, czytano wiersze i dyskutowano po rosyjsku, ukraińsku, białorusku, no i oczywiście po polsku, bo okazało się, iż młodzi pisarze ra-

dziecy anają język polski, czytają polską prozę i poezję, a szczególnie tę ostatnią bardzo sobie cenią, uważając ją za jedną z najlepszych na świecie. Dochodziło nawet do przemieszanych sytuacji. Rosjanin mówi do Polaka po polsku, a ten mu odpowiada po... rosyjsku. Chcąc wyprostować „błąd” powiedziałam do Polaka:

— Zygmun, ten pan mówi świetną polszczyznę!

— Nie mieszaj! — denerwuje się Polak i dalej wyklada swoje racje w języku Puszkina i Gribojedowa.

— Niech mówi po rosyjsku, może chce pochwiliżyć w tym języku — spokojnie rzecze na to polskimi słowami, a z śpiewnym akcentem, ziomek Dostojewskiego.

Podobnych, aczkolwiek nie tak lapidarnych, komicznych sytuacji było sporo. Wynikały one z pomieszania swoistego języków, a także zapalczystości dyskutujących. Z tego miłego spotka-

nia wyniosłem kilka tomików wierszy, naturalnie z autografami autorów. W gościnie u łódzkich tłumaczy przebywali m.in. Taras Fediuk z Ukrainy, Nikołaj Dabidża z Moldawii, Riman-tas Wangas z Litwy, Leonid Drańko-Majsiuk z Białorusi, Gennadij Krasnikow z Rosji, Kazbek Suktanow z Azerbejdżanu, Hurszid Dawron z Uzbekistanu... A propos Uzbekistanu, właśnie teraz operatywne „Wydawnictwo Łódzkie”, specjalizujące się niejako w przekładach poezji radzieckiej, przygotowuje kolejną antologię, tym razem poezji uzbeckiej, w której znajdują się wiersze naszego gościa, poety Hurszida Dawrona. Oprócz tego chciałbym zaprezentować wiersze naszych najbliższych sąsiadów: Ukraińca Tarasa Fediuka i Białorusina Leonida Drańko-Majsiuka.

ROMAN GORZELSKI

Dzbany jak szmaragdowa.
Już jesień.
Stoją kolumny deszczów:
Więc tę ciszę zachowaj dla mnie.

Może билет mi odbiera,
Potajemnie, podstępnie,
W ogień rzuci, cichutko
Przyspięzając sobie piosenkę.
O kozaku,
Co za Dunaj
Się wybierał.

Uszy woskiem mi zalep,
To wypróbowany sposób,
Bym nie słyszał
Nawoływania
Moich przyjaciół,

A także
Syrnych głosów,
Pieśni śpiewanych przez ślicznotki,
Co mocno przy ustach śolskąją
Mikrofon,
Jak rajskiego ptaka.

Zatrzymaj dla mnie naszą ciszę.
I tę ziemię razową.
Pracę czarną nad słowem,
A także traktor,
Który jak wrona
Krače na roli.
Bo w tym jest moja miłość.

Zajęczy wiersz

Stary ten sposób i znany,
Znany ten sposób został
Wielokrotnie opisany,
A są tam zbiory
Protestów przeróżnych
I zdecydowanych.
A chodzi o polowanie
Na zająca
Z samochodem
Nocą.

Znam
Fawelny finał nietypowy:
Samochód z rozpedu — do jaru wpadł,
Bo znalazł się nagle na skraju pola.
A zającowi — wolna wola.
Zaś w jarze — strzelby niepotrzebne,
Naboje, zaświadczenia, flaszki...
Potem wszystkiego tego długie
Grupka towarzyszy szukała...

Ale nie o tym chciałem mówić,
Lecz o zającu z sercem w strzepach,
Oraz o samochodzie z silnikiem naderwanym,
o światłach reflektorów
Niozym zajęczy uszy
Ledwie drzące na klującym ściernisku
Nocą.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Z półki recenzenta

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Władysław Orłowski, uczestnik Powstania Warszawskiego, pisał tę książkę „o sobie i nie o sobie” prawie trzy lata. Jest to wędrowka w przeszłość, która „przeszła, lecz nie minęła” i niczym zadra lub odłamki szkła w policzku głównego bohatera nie pozwala zapomnieć o tamtych heroicznym, a tak tragicznym wydarzeniach. Ile książek napisano na ten temat? Zebrałaby się spora biblioteka, a przecież każda następna opowiada o czymś jednostkowym doświadczeniu, jawi się kolejnym kamieniem tej niezwykłej mozaiki, ciągle niepełnej, ciągle mającej puste miejsca po tych, którzy odeszli, oddali swoje młode życie walcząc na barykadach, w ruinach domów, na placach i ulicach Warszawy.

Książka „Odlamki” jest napisana żywo, barwnie, z należytym wyczuciem dramaturgii zdarzeń. Sądzę, że jej lektura dostarczy sporo satysfakcji nie tylko tym, którzy snają okupację hitlerowską z autopsji.

Władysław Orłowski: Odlamki. KAW w Łodzi 1987. Str. 204. Cena 160 zł.

NAD STARĄ BLIZNĄ

W serii „Biblioteki Łódzkiej” ukazała się książka — reportaż z przeszłości Edwarda Szustera pt. „Nad starą blizną”, a dotycząca niezwykłych zdarzeń, jakie nastąpiły po 1905 r. Były to bratobójcze walki, które zbulwersowały ówczesną społeczność wywołując różne komentarze, domysły i opinie. Fakt jest faktem: ginęli ludzie, którzy nie tak dawno walczyli przeciwko caratowi. Teraz zaczęli strzelać do siebie, dźgać nożami, masakrować się wzajemnie metalowymi rurkami.

Edward Szuster nie stara się odpowiedzieć na pytanie dlaczego to robili, lecz na podstawie dokumentów, relacji, opracowań i czasopiśm przedstawia owe pełne tragizmu lata 1906—1907, spogląda na nie z perspektywy historii.

Polecam tę książkę nie tylko miłośnikom łódzianinów.

Edward Szuster: Nad starą blizną. KAW w Łodzi 1987. Str. 192. Cena 250 zł.

GODZINA GWIAZDY

Pisarka brazylijska Clarice Lispector (zmarła przed czterema laty) pisała tę książkę tuż przed śmiercią. Była córką ukraińskich emigrantów, której rodzice wyjechali w poszukiwaniu chleba za ocean.

Treścią „Godziny gwiazdy” są losy zagubionej w okrutnym świecie dorosłych dziewczyny. To, co pisze, to coś więcej niż fikcja, moim obojętnym jest opowiedzieć o tej jednej spośród milionów dziewczyn... Bo istnieje prawo do krzyku. A więc krzyczę.

Książka Clarice Lispector jest okrutna w swojej społecznej wymowie i tragiczna w wymiarze jednego ludzkiego życia. Jest także oskarżeniem zachodniej cywilizacji, w której człowiek przestał się zupełnie liczyć.

Przekład Anny Hermanowicz-Palki.

Clarice Lispector: Godzina gwiazdy. WL 1987. Str. 100. Cena 120 zł.

RZECZ O „ZIELONYM BALONIKU”

Drugie wydanie książki Tomasza Weissa pt. „Legenda i prawda Zielonego Balonika” zostało przez autora przejrane i poprawione. Oczywiście nie wpłynęło to w istotny sposób na treść i wymowę książki. Jest ona bowiem rzetelnym analitycznym dziełem dotyczącym naszego modernizmu. Na szerokim tle stosunków panujących w ówczesnej Galicji kreśli autor obraz życia literackiego z jego wszystkimi możliwymi blaskami i cieniami. Jednocześnie — jakby przeciwstawiając się legendzie stworzonej przez Boya — „odbrązawia” słynny kabaret z Jany Michalikowej.

Myślę, że książka Tomasza Weissa pozostaje bliższa prawdy niż „Znasz-li ten kraj” Tadeusza Boya, który był uczestnikiem „Zielonego Balonika” i pisywał do niego teksty, a więc nie był w stosunku do kabaretu człowiekiem obiektywnym.

Tomasz Weiss: Legenda i prawda Zielonego Balonika. WL 1987. Str. 460. Cena 850 zł.

Hurszid Dawron



W babel Barcin zbierają się dzieci.
Babela Barcin ma głowę pełną bajek,
a serce — dobroć.

Kiedy drogami błąka się zima
i pokaże zamek,
babela Barcin przysła do siebie najmłodszą
i opowiada bajki.

Alpamysa, śpiącego w nocnym mroku,
zmem tysiącletnim,
Alpamysa, sdrągniętego przez przyjaciół, nabity
przez wrogów,

wstaje cicho
w twórczym milczeniu świata,
świata biogryzowego konia
i pędzi poprzez bajki
babela Barcin.

A najmłodszą z dzieci,
przysłone do staruszek,
styszy, jak dzwonią
podkowy Bajenbara.

Bardzo chciałoby wybiec na podwórko,
aby pomachać ręką
mknącemu Alpamysowi.

Leonid Drańko - Majsiuk

Przypowieść

Nawet w rozpacz, w najczarniejszej z wieści
Jest ratunek, jak dla topielca słomka.
I tylko trzeba poszukać wyjścia.
A młok rozpacz i zaświeci słońce,
Zbawienie wjedzie na koniu radości.

Pewnego razu dowiecnił wiejski,
Wyznawca uciech od stóp aż do głowy,
Czuły na różne wdzięki panienskie,
Co żył bezzębnie także na koszt wdowy,
Tak rzecze ludziom z uśmiechem złodziejskim:

Wśród czarnych sów jest też sowa główna,
Drapieżna jak sto diabłów i bogata,
Może w młocnym życiu mi dorówna,
I ją za żonę wezmę do swej chaty,
A będzie ona zła, a nie s drewna...

Wpierw ludzi strach zdjął, potem śmiech pusty,
Pan młody też się śmiał, ale do czasu.
Skończy się biała żyła z rozpusty,
Butne wyzwanie rzucił w stronę losu:
Bo ten się śmieje, co wciąż ma nadzieję...

Taras Fediuk



Wyjde w pole poprzez sad,
Światłem się obumyję,
Jeszcze nie opadła rosa,
Która oczy wyje.

Znów słońce zmiecie ciemność,
Sobie znanym ruchem.
Jeszcze droga jest nam — Ziemia,
Jeszcze nie jest — puchem.

Drótek słowiańskich nerwy —
Wiata ciał kraju...
Biały ptak się poderwał
Już z czarnego kraju...

Monolog przed odjazdem

Zachowaj dla mnie tę ciszę.
Wysokie bogactwo topoli —

Oczy Tumarisa

Pewnego razu na chłodnej ciemnej ściółce
Na jawie staniesz przede mną —
Niby płonące gniewem oczy dziecka,
które obudziło się od krzyków
Wroga, mordującego w środku nocy
Jego rodziców...



Ręce tej kobiety są szorochowane.
Sukienka tej kobiety — niezdarna.
Każdego dnia bije ją mąż.
Każdego dnia ma na twarzy nowe ślęce.

Wzorem nieoczekiwanie koło drogi.
Ujrzałem tę kobietę:
Wachata małeńki rumianek,
Którę ja nie zauważyłem.

Przełożyła:
ELEONORA KARPUK



М. Рыбенко, Бордино. Первый снег. 1984.

nie szarej inteligencji (...) Ta snobistyczna atmosfera, właściwa zresztą wszystkim epokom i wszystkim popularnym miejscowościom, lecz w Zakopanem szczególnie zgrzeszona, przetrwała z okresu przed pierwszą wojną światową do okresu międzywojennego, do lat najmniejszej prosperity tego całorocznego już czasowiska i objęła także zimowe sezony. Pomimo iż we wszystkich trzech zjednoczonych dzielnicach Polski rozwijały się wówczas, jak przyby po deszczu, liczne uzdrowiska i letniska. Zakopane nadal górowało nad wszystkimi. A znaczenie jego polegało nie tylko na tym, że było jedynym w kraju punktem wypadowym w Tatry, i że koncentrowało w sobie cały ruch sportów górskich. Było ono nadal niezawodnym miejscem spotkań wszystkich ze wszystkimi (...) Setki, ba tysiące Polaków nie wyobrażały sobie, jak można nie zjawić się przynajmniej raz do roku w

Bo weźmy, na przykład, proszę ludowej wycieczki, taką Gubałówkę. Wiadomo, iż na ten sławny w całym kraju pagórek, za pomocą dwóch wagoników kolejki na szynach, wjeżdża w każdy upalny dzień kilkanaście tysięcy ludzi w celu wystawienia ciała na działalność słońca, by po powrocie do pracy w mieście, kolektyw pracowniczy powykręcało z zazdrości. Wszędzie w świecie obstawiono by te tysiące ludzi budkami, kioskami, kramikami, bufetami i czym tam kto chce jeszcze, by mogli napić się, zjeść, kupić co nieco — słowem: wydać trochę pieniędzy. Tymczasem restauracja zamknięta naглуcho, bo groziła zawaleniem. Nic się jednak wewnątrz nie robi. Barmanka z niewielkiego (jedynego na Gubałówce) bufetu powiedziała:

— Remontu na razie nie będzie, bo nie ma pieniędzy. A poza tym prezesa to nic nie obchodzi.

Nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że miasto, które wyciąga od przyjezdnych mili-

natomiast — i to bardzo — wygląda. Przy szaroburym ubrankach dzieci z polskiej wycieczki, wyglądali jak książęta w swoich kolorowych, gustownych, a przecież „la-zionym” odzieniach. Niestety.

Gdy narodu zjechało zbyt gęsto, a zбочe Gubałówki przypominać zaczęło teren wokół kąpieliska „Fala” w Łodzi, pojechałem prawie pustym wagonikiem do Zakopanego, by przekonać się, że na dole u pa- ną zwiększył się jakby, a natężenie tłumów wędrowców na Krupówkach nie zmalało ani o kwant.

By uciec od tego, co na Piotrkowskiej mamy przez okragły rok, poszedłem w góry, tym razem te prawdziwe. Ponieważ wchodzimy na teren Tatrzańskiego Parku Narodowego, musimy, jak wszyscy trzymać się wytyczonych szlaków i, siłą rzeczy, znów jesteśmy pośród setek turystów, bo żadne samowolne schodzenie w bok nie jest dozwolone. (I wtedy usłyszałem, jak obuczony olbrzymim plecakiem młody chłopak powiedział do

szę chaty góralskie, zagrody i obejścia, które dziś są już zabawkami architektury podhalaniskiej. Zadbane na ogół i dobrze utrzymane, opatrzone są tabliczkami informacyjnymi, kiedy zostały pobudowane i do jakiego rodzaju góralskiego należały. I to powinno się chcieć zobaczyć, pobyć trochę w klimacie dawnych lat, bo wzięta w drugiej części miasta, gdzie

PANOSZA SIĘ WSTRĘTNE BETONOWE BUDY

zwane willami, może przypisać o nudności. Tyle się o tym pisało w polskiej prasie, że nie warto do sprawy wracać. Nowe władze Zakopanego położyły jakoby kres samowoli budowlanej, to jednak, co zdolali wybudować różni parweniuse w minionych latach, stoi i straszy — i nie się na to nie poradzi.

Miejscowa ludność, żyjąca bez przerwy pod naporem przyjezdnych, przywykła do roli pełniących różnej maści posługi oraz usługi. I owszem, doją z cęprów pieniądze jak mogą, ale stara zasada biznesu brzmi: coś za coś. Degeneruje się więc społeczność góralska pod wpływem „wielkiego świata” jak tylko może najdokładniej. Młodzież przygląda się swobodnemu spędzaniu czasu, szastaniu szmalem, „salonowemu” sposobowi życia i, zapominając, że jest to tylko krótki antyakt w całorocznej harówce (jaka by ona nie była), próbuje naśladować letników. Chcąc dorównać we wszystkim, mogą to spełnić tylko w ilości wypitej wódki, rwanu panienek, wrzaskach, burdach, no i drogich, modnych lachach.

Starzy górale zadowalają się dorównaniem, a nawet przeganianiem cęprów w pijanym. Ogorzałe bardziej od wody niż słońca twarze zakopiańskich doróżkaczy mówią wszystko. Do tego niechlujne, brudne resztki ludowych strojów, tak czarnych, że ledwie kalu należącemu do „Hortexu”, widać kolorowe niegdyś parzenice na nogawkach sukienki spodni nie odstraszały jednak turystów, którzy z lubością fotografują się z prawdziwymi góralami i jeżdżą zdezelowanymi drymadami gdzie bądź.

Powie ktoś, że górale piją zawsze. To prawda, ale teraz jakby więcej mieli do tego powodów. Widzą przecież, że wszystko dookoła schodzi na psy i małe są szanse na jakąkolwiek poprawę. Niepokoił chaos procesów urbanizacyjnych, problem odpadków i ścieków nie doczekał się mądrego rozwiązania, wybieranie zwiru, kamieni z rzek i potoków zakłóca równowagę hydrologiczną, tereny o wartości rolniczej idą pod zabudowę, słowem: ziemia przestaje być obrazem duszy górala — jak to ktoś efektywnie określił. Dochodzi problem wody pitnej i nieuregulowane sprawy wypasu owiec na halach i problem własności tychże hal — wystarczająco dużo powodów, by popaść w pijaństwo.

Ostrzeżenie dla tych, którzy znajdują się w Zakopanem po godz. 19.00. Najlepiej mieć własne jedzenie, bo po tej magicznej godzinie gastronomia zasypia. W niektórych tylko lokalach dyskoteki i dancingi, ale wejść tam trudno, bo wszędzie komplety i nadkomplety, a surowy cerber nie bawi się w kurbuzję i odpędza od drzwi, chyba że dostanie portret jakiejś osobistości, najlepiej na papierze wartościowym. Jeśli tych portretów nie ma w portfelu zbyt wiele, to trzeba czekać do jutra, albo umrzeć z głodu i jako duch nie dawać spokoju odpowiedzialnym za tę wieczorną martwość gastronomiczną w dawnym polskim kurorcie.

Może takie nocne zmyły spowodowałyby poruszenie w zaszytych umysłach i zmusiłoby do podjęcia jakichś sensownych decyzji? Ze nie? Niestety i ja jestem pesymistą. Rzeczywistość dowodzi, że choć mówi się wiele słuszących rzeczy i używa wielu słuszących słów, dookoła wcale nie jest lepiej i chęć do działania ani trochę nie przybyła. Króluje byleczolizm i mamtowduszizm. No bo jak to jest, że wódę można kupić każdą, a wielki cocktail-bar mleczny remontowany jest akurat w środku sezonu? Przykład jakiegoś łogdzkiego remontu przeprowadzono nocami, tak, że klienci nawet tego nie zauważyli i lokal nie był zamknięty z tego powodu ani przez godzinę dowodzi, że można inaczej. Jest to jednak

przykład wyjątkowy, jedyny i tak zdumiewający, że aż niewiarygodny. Nie zmienia on zupełnie słusznego przekonania o nieudolności, głupocie, braku organizacji i ogólnej niemocy ludzi odpowiedzialnych za cokolwiek.

Wróćmy jednak do Zakopanego. Jakże rozrywki proponuje się wczasowiczom, może tu zaskoczeni zostaniemy czymś na miarę rangi tej miejscowości? Okazuje się, że jaka ranga, takie propozycje. Występ Macieja Zembatego z piosenkami Leonarda Cohena (jest to taka nowość, jak kolejka na Kasprowy), górski występ kapeli góralskich — to wszystko. Baw się więc, ludu, rozrywaj do woli, odpowiedni ludzie wyszli z siebie, by nie szczędząc sił i środków ofiarować ci wszystko, na co ich stać. Uwiad, nędza i smutek. Organizatorzy życia kulturalnego mają widocznie wakacyjnych gości za kompletnych matolów i proponując byle co, dają świadectwo swego myślenia o przyjezdnych, albo też sami są leniwi i na tyle bezczelni, że markując działalność nie dbają nawet o pozory.

To są ci sami, którzy dotąd nie wierzą w bezsporny sukces Teatru im St. I. Witkiewicza i czekają tylko, kiedy upadnie, poniesie klęskę i wszystko wróci do gnuśnej normy.

Gdzie te czasy, gdy właśnie w Zakopanem odbywały się „Wakacyjne Kursy Naukowe-Literackie”, które organizował m.in. Stanisław Ignacy Witkiewicz i Jerzy Eugeniusz Piłmiński. Zjechały wówczas różne znakomitości ze świata

nauki i sztuki, a więc poza wymienionymi: Karol Irazkowski, Leon Chwistek, Julian Krzyżanowski, prof. W. Goetel, Nisch, Bystron i inni. Czy teraz nie ma już takich ludzi, czy też nie ma ludzi, dla których warto by organizować podobne imprezy. Na pewno są i jedni, i drudzy. Nie ma natomiast tych trzecich, którzy powinni zajmować się racji pełnionych funkcji organizacją kultury nie tylko w Zakopanem. To znaczy, pardon, są, ale tylko teoretycznie.

Zakopane rozczarowuje coraz bardziej. Szczególnie, że można pójść w góry, oderwać się od przynębiającej rzeczywistości i w samotności podumać o jakimś lepszym życiu.

W pociągu do Łodzi spory tłok. Wracający z wczasów ludzie wyglądają nie tylko zmordowani, choć twarze opalone. Mówi się o tym, że wszędzie tłumy ludzi, kolejki, oczekiwanie, że wszystkim kłopoty, że coraz mniej cierpliwości, że ludzie niegrzeczni, wręcz chamscy, że źle, coraz gorzej.

Ano cóż, Aleksandr Dumas, ojciec, mówił już dawno temu, że „wypoczynek, jak wszystko, kończy się zmęczeniem”.

MAREK KOPROWSKI

Czym się kończy wypoczynek?

Zakopanem w okresie największej frekwencji gości (...) Latem, w okresie najkapszniejszej pogody, pojawiały się, jak dawniej, na chodnikach zakopiańskich stare wygi taternickie, różne autorytety od spraw tatrzańskich i podhalańskich oraz wszelkiego rodzaju naukowcy, twórcy i artyści (...). W lecie też, a nie w zimie, organizowano tu najciekawsze imprezy intelektualne i „rendezvousy śmietankowe”, a więc różne zjazdy, konferencje, cykle wykładów, odczytów, itp. To nadawało jakis głębszy sens i cel pobytowi w Zakopanem, który niejednemu przypadł akurat w czas trwania dwutygodniowego deszczu. A i plotkarstwo tych sezonów było nieco wyższego gatunku, jako że uwalniano tu sprawy wprawdzie nieraz nader blane, ale dotyczące jednostek wybitnych i powszechnie znanych”.

A dziś? Poza górami, których piękna (na razie przynajmniej) nie jest w stanie zniszczyć, ani śladu tak barwnie opisywanej atmosfery. Jest wszakże w Zakopanem miejsce, które stało się załącznikiem ruchu intelektualnego (w znaczeniu „ruchu powietrza”) a nie jakiejś organizacji) obejmującego coraz szersze kręgi młodych polskich twórców i inteligentów. To Teatr im. St. I. Witkiewicza, tworzący wspaniałą atmosferę tamtych lat, zyskujący sobie w szybkim czasie legion sympatyków i gorących przyjaciół w całym kraju. Jest to miejsce spotkań, poważnych dyskusji o teatrze, sztuce i „życiu”, jedno z niewielu w Polsce, gdzie czuje się prawdziwie artystyczną atmosferę, i jak wyraził się jeden z uczestników dyskusji „gdzie warto poważnie rozmawiać”. Co ważne, tworzą ten „zapach wielkiej sztuki” ludzie młodzi. Teatrowi im. Witkiewicza poświęć osobną publikację na łamach „Odgłosów”.

Skoro dzisiejszy wczasowicz daje miastu niewiele lub zgoła nic (nie licząc, naturalnie, pieniędzy), przypatrzmy się, co Zakopane oferuje przyjezdnym, poza możliwościami szybkiego tych pieniędzy wydania. Przede wszystkim wspaniałe krajobrazy, panoramy Tatr w ich surowym pięknie, czyste powietrze (oczywiście w górach, poza miastem) i możliwości najróżniejszych co do skali trudności wycieczek turystycznych. Nie jest to, co prawda, żadna „ludzka zasługa”, o to zadbała natura kilka milionów lat temu, ludzkie natomiast (czytaj: odpowiednie władze) powinny te niezwykłe „okoliczności przyrody” wykorzystać i wyszukać dla dobra żadnej wypoczynku klasy robotniczej, chłopstwa i postępowej inteligencji. Tak przynajmniej nakazywałaby zdrowa logika, niezależnie od ideologicznych podstaw czy pryncypiów. U nas nie jest to jednak aż tak oczywiste.

dy, nie ma pieniędzy na swoje podstawowe potrzeby. Ciekawe, co zmieni, jeśli cokolwiek zmieni, odmieniana po tysiącach przez przepadki w ostatnim czasie reforma gospodarstwa.

Obok nieczynnej restauracji, w drewnianym pawilonie, można było kiedyś wypocząć leżaki. I to miejsce „zawarte”, wielka kłódka wisła na drzwiach. Podobno leżakom należy się konserwacja, lecz nie ma kto zapłacić (i z czego) konserwatorowi, choć ten, o dziwo, jest. Leżaki można jednak wypożyczyć w jednej z prywatnych chałup na Gubałówce, której właściciel wziął na siebie ciężar zaopatrzenia letników w ten skomplikowany sprzęt, jako że natura nie znosi próżni, a tym bardziej natura człowieka interesu. I nie ma on kłopotu z konserwacją i nawet opłaca się ten biznes prostemu góralowi, co z punktu widzenia instytucji państwowej, graniczy nieomal z cudem. I znów okazuje się, że Polak (indywidualnie) potrafi, Polak zaś zinstytucjonalizowany — nie. Ciekawe, kiedy tego rzutkiego górala odpowiednia władza dobije podatkami, w nagrodę za odwagę i refleks? Oczywiście w imię sprawiedliwości społecznej, w trosce, aby jednostka nie bogaciła się nadmiernie. Niech wszyscy będą biedni i bez inicjatywy. A instytucja od restauracji i leżaków bezkarnie mnożyć będzie etaty administracyjne, bo istnieć przecież musi, dla dobra odpoczywającego ludu.

Z Gubałówki można popatrzyć na Giewont przez starą, wysłużoną lunetę, za jedyne 15 zł. Większość ciekawskich nie widzi, co energiczna właścicielka teleskopu tłumaczy mgłą, nieumiejętnością patrzenia w szkło, a uparty przegania, bo kolejka formuje się długa i nie ma czasu na manipulację ostrością. Można również kupić pamiątkowe maskarki, np. skarbonek w kształcie góralskiej chaty drewnianej, przed którą stoi plastikowy góral z fajką, a przed plastikową budą siedzi plastikowy potwór, i to ma być pies. Ohydą. Biedne dzieci, którym nikt nie odradza wydawania pieniędzy na te cuda, przyciskają paluszki do piersi jak najcenniejszy skarb, oczy im płoną z radością a rumieniec emocji krasa lica.

Siedziałem samotnie na stołku, gdy kolejką wiozła kolejną grupę ludzi. Była między nimi wycieczka młodzieży z RFN. Trzej chłopcy usiedli blisko mnie i wyjawyży z kieszeni karty, zaczęli rznąć w oko (ein und zweinzig). Nic ich nie obchodziły widoki, pamiątki, ani to, co mowolnie opowiadał po niemiecku polski przewodnik. Nie różnił się niczym od setek uczestników polskich wycieczek, których obserwowałem w różnym czasie w różnych atrakcyjnych miejscach Polski. Różnił ich

idące obok dziewczyny z takim samym bagażem: „będę cię niość przez życie jak plecak”.

Dość dotkliwie odczuł niedozwolone schodzenie z wytyczonych szlaków pewien speleolog-amator z Krakowa, który dokonał nielegalnego wejścia do jaskini Bystra na terenie TPN w maju 1987 r. Obwiniony nie posiadał pisemnego zezwolenia dyrektora Parku na wejście do „przedmiotowej jaskini” i za to został ukarany przez zakopiańskie Kolegium od spraw Wykroczeń grzywną w wysokości 30.000 zł. z zamianą na 60 dni aresztu oraz podanie orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Dunajec”. Jako przestępstwo. Trzeba więc podporażkować się przepisom, by w polowie urlopu nie stracić oszczędzonych wcześniej pieniędzy i nie musieć wracać do domu autostopem lub na bilet kredytowy PKP.

Im wyżej jednak, im dalej od Zakopanego — tym mniej. Szlaki rozwidlają się, struga turystów rozdziela się i tam wysoko są już nawet miejsca, gdzie nie widać i nie słychać człowieka. Teraz można naprawdę odpocząć. Nie trwa to oczywiście zbyt długo, bo przed wieczorem trzeba zejść do bazy, bowiem mrok w górach nawet zaprawionemu w wędrowce turystyce może sprawić kłopoty w orientacji. Doświadczyłem tego kiedyś w Bieszczadach, gdy pół nocy spędziłem z bratem pod drzewem (a obaj znamyśmy góry dość dobrze), w odległości, jak się o świcie okazało, stu metrów od ziemianki poukraińskiej, która była wtedy i tam naszym domem.

Znów potwierdził się obserwację z Zakopiańskiego deptaka: ludzie stamtąd (a znam je już większość z widzenia) w górach nie spotkałem (w Teatrze Witkiewicza zresztą też nie), oni docierają tylko tam, gdzie może dowiedzieć ich samochód bądź górskie kolejki. Na spaceru po górach szkoda nóg.

Nie docierają również do nieodległego od Krupówek starożytnego cmentarza zakopiańskiego na Pękowskim Brzysku, gdzie pochowali są wielcy twórcy polskiej kultury i sztuki (m.in. Tytus Chałubiński, Stanisław Witkiewicz-ojciec, Władysław Orkan, Kornel Makuszyński, Józef Kopeniak, Stanisław Nędza-Kubiniec, Jan Długosz, Witold Dąbrowa, Antoni Rząsa, Antoni Kenar, Karol Strykowski, Sabala i wielu innych). Mówię o tym i piszę często (czy to nie obsesja?), ale uważam, że każdy przyzwolony Polak powinien odwiedzić i takie miejsca narodowej pamięci. Odrobina zadumy i refleksji nie zaszkodził nawet w czasie szampańskiego urlopu.

Ulica Kościeliska, przy której położony jest ten przepiękny cmentarz jest pusta, i, poza tubylcami, nikt prawie nią nie chodzi. A wzdłuż tej ulicy właśnie usadowili się najstar-

Kronika kulturalna

ORGAN iwanowskiego Obwodowego Komitetu KPZR i Obwodowej Rady Delegatów Ludu Pracującego „Rabocziy Kraj” w Iwanowie w numerze 93 z 21 kwietnia 1987 roku poświęcił kolejną kolumnę sprawom Łodzi i regionu.

Na kolumnie pomieszczono noty — „Więzy braterstwa” i „Na cześć pamiętnej daty”. Noty zawierają informacje o współpracy kulturalnej, zwłaszcza literackiej Łodzi i Iwanowa, o przygotowywaniu w Wydawnictwie Górnej Wołgi antologii pisarzy i poetów Łodzi i regionu, oraz o popularyzujących Łódź i Polskę spotkaniach w instytucjach, zakładach pracy, świetlicach i szkołach, festiwalu filmów w kinie „Łódź”, wystawach książek w bibliotekach.

Z utworów literackich opublikowano wiersz Władysława Broniewskiego (bez tytułu), dedykowany Wandzie Witkowskiej, wiersz T. Giciera — „Kolsanka”, wiersz Władysława Strzeleckiego — „Malowane wiśnie” i wiersze Doroty Chrościelewskiej — „Uczę się piątków języka...” i „Pierścionek” oraz opowiadanie E. Iwanickiego „Szósty zmysł”.

ŁÓDZKIE Biuro Wystaw Artystycznych prezentuje w Moskwie, w Galerii Związku Artystów Plastyków ZSRR, współczesną grafikę polską.

Ekspozycja ta czynna będzie do 9 bm. Zawiera ona 98 prac 27 autorów — m.in. Mieczysława Wejmana, Tadeusza Kotkowskiego, a spośród łódzkich twórców: Andrzeja Gierasla, Andrzeja Nawrota, Janiny i Edwarda Habiszów.

Jeszcze w sierpniu br. w Centralnym Domu Artysty w Moskwie BWA z Łodzi zorganizuje retrospektywną wystawę Jerzego Dudy-Gracza.

W MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU Piosenki w Sopocie (od 19 do 22 sierpnia) udział weźmie 21 wykonawców z 20 krajów.

Piosenkę polską reprezentować mają: Joanna Zagdańska i Majka Jeżowska.

Z recitalami na sopockiej estradzie wystąpią: Mara Getz, Jose Feliciano, Walerij Leontiew, Stanisław Sojka i Johny Cash.

Nagrodą będzie sporo, albowiem imprezę sponsoruje szwedzka firma STM. Ufundowała ona premię w wysokości 15 tys. dolarów za Grand Prix.

Bilety dla publiczności będą drogie — najtańszy bilet 1.300 zł, natomiast za miejsce w centrum widowni trzeba będzie płacić 2,5 tys. (za jeden koncert).

MIĘDZYNARODOWA ekipa filmowa kręci w Krakowie sceny do filmu według utworu Karola Wojtyły z 1960 roku — „Przed sklepem jubilera”.

Reżyserem filmu jest Michael Anderson — Kanadyjczyk angielskiego pochodzenia, który wstąpił w współpracę z najwybitniejszymi aktorami, m.in.: Richardem Burtonem, Gary Cooperem, Sophią Loren, Laurencem Olivierem.

Jubilera gra Burt Lancaster, którego bliżej przedstawiać nie trzeba. Rolę Teresy reżyser powierzył Olivii Hussey, znanej z filmów Zeffirello „Romeo i Julia”, „Jezus z Nazaretu” oraz z serialu „Ostatnie dni Pompei”. Adamem (tu przemianowanym w księdza), a więc jakby porte-parole Autora jest Daniel Olbrychski.

Autorami ostatniej wersji scenariusza są: Mario di Nardo i Jeff Andrus.

Jeśli chodzi o ekipę — to od czasów Królowej Bony nie było w Krakowie tylu Włochów. Są oni — jak wyznają w rozmowach — zachwyceni tym miastem.

UKAZAŁ się nowy miesięcznik „Res Publica”, założony przez publicystę i historyka Marcina Króla, związanego dotąd z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Jest to pierwsze w Polsce prywatne i „niezależne” czasopismo, które zamierza poruszać kontrowersyjne problemy zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości.

„Res Publica” ukazywać się będzie w nakładzie 25 tys. egzemplarzy i kosztować 250 zł. Pismo sprzedawane ma być głównie w prenumeracie.

Wracając do swojego pokoju chciał zamknąć drzwi, ale tamten powstrzymał go gestem; drzwi powinny zostać otwarte.

Funkcjonariusz — coż, to tylko wykonawca rozkazów, wszelkie spory i protesty nie mają sensu. Trzeba być pewnym siebie, wesołym, tylko w ten sposób będzie można uspokoić mamę.

— Czego macie zamiar szukać, może oddam wam sam?

Funkcjonariusz zdjął płaszcz i czapkę, powiedział w rogu. Miał na sobie ciemnogranatowy garnitur, ciemną koszulę i krawat — zwyczajny młody człowiek, zaczynający trochę tyć, spotyka się takich w każdym biurze.

Na stole leżały zeszyty konspekty, podręczniki. Funkcjonariusz brał je po kolei do ręki, kartkował, przebiegał wzrokiem tekst, i odkładał na rosnący, równy stos.

Jego uwagę przyciągnęło zdanie, które Sasza zanotował w tramwaju na okładce zeszytu do mostów i konstrukcji drogowych: „Chłop w tramwaju, zagubiony, żalosny, a w domu władczy i despotyczny”.

Zeszyt spoczął obok dowodu i legitymacji.

W szufladach biurka leżały dokumenty, zdjęcia, listy. Funkcjonariusz nie interesował się treścią listów, sprawdzał tylko nazwiska nadawców. Gdy nie mógł rozszyfrować podpisu, pytał Saszę odpowiadał krótko i zwięźle. Metryki, świadectwo ukończenia szkoły, zaświadczenia z miejsca pracy i inne dokumenty zostały w biurku, legitymacja komсомolska i legitymacja związkowa znalazły się po lewej stronie.

— Dlaczego zabieracie moją legitymację komсомolską?

— Na razie niczego nie zabieram.

Fotografie dziecięce i szkolne też nie wzbudziły jego zainteresowania, śledził tylko po te, na których byli dorośli. I znów pytał: kto to, a to?

Mama wstała. Sasza usłyszał skrzypnięcie łożka, szuranie pantofli, stuk drzwi szafy, w której wisiał szlafrok. Wyszła jednak nie w szlafroku, lecz w sukni, pośpiesznie włożonej na nocną koszulę. Uśmiechając się żałośnie mama podeszła do Saszy i drżącą ręką pogładziła go po włosach.

— Obywatelko, siedźcie w swoim pokoju — powiedział funkcjonariusz.

W jego głosie orzmiła ta służbowa kategoryczność, która zawsze napawała Zofię Aleksandrowną lękiem; wchodząc do pokoju uczyniła coś, co może zaszkodzić jej synowi. Ze skwapliwym pośpiechem pokłoniła głową.

— Może wszyscy mamy położyć się na podłogę? — zażartował Sasza.

Funkcjonariusz, który przeglądał książki na półce, spojrzał na Saszę ze zdziwieniem i nie odpowiedział.

— Posiedź u siebie — zwrócił się Sasza do mamy. Zofia Aleksandrowna znów gorliwie pokłoniła głową, i zerkając z obawą na barczyste plecy funkcjonariusza wróciła do swojego pokoju.

Czy wiedzą o Solcu? Chyba nie, w przeciwnym wypadku nie osmieliłby się przyjąć. Nie zadziwił go jakiś trybik w aparacie. Niedobrze! To nieporozumienie mocno skomplikuje sprawę.

Funkcjonariusz polecił otworzyć szafę, wrócić kieszonkę marynarki w jednej był notes z telefonami i adresami — powiedział na lewo. Sprawdzając czy wszystko zostało przejrzone, funkcjonariusz powiedział wzrokiem po pokoju, zauważył walizkę za tapczanem, kazał otworzyć — walizka była pusta. Ten człowiek wykonuje swoje obowiązki — sumienny, kompetentny urzędnik. Gdyby partia skierowała Saszę do pracy w organach GPU, i gdyby połączono mu przeprowadzić rewizję, aresztować kogoś, postępowałby dokładnie tak samo, nawet gdyby trafił do niewinnego człowieka w takich sprawach pomyłki są nieuniknione. Trzeba patrzeć szerzej, nie myśleć wyłącznie kategoriami osobistej krzywdy, udowodni przecież swoją niewinność tak jak w CKKP. Niech więc funkcjonariusz spełnia swoją powinność.

— Przejdźmy do drugiego pokoju.

Mama stała oparta łokciami o komodę, z palcami zanurzonymi w swych włosach, z ukosa patrzyła na drzwi.

— Towarzysze obejrzyj swój pokój. Usiądź, mam.

Nie usiadła, nadal stała bez ruchu, odsunęła się tylko nieznacznie, gdy funkcjonariusz podszedł do komody.

Na komodzie stały fotografie Saszy, Marka, młodszych siostr.

— Kto to?

— Mój brat, Riazanow Mark Aleksandrowicz. Niech wie, że sławny Riazanow to jej brat, że Sasza jest jego siostrzeńcem przez cały czas myślała jak ma to powiedzieć; gdy dowiedza się — przerwa rewizję i nie aresztują Saszy. Marka zna cały kraj, zna go Stalin i z żalosnym uśmiechem dodała:

— A to Saszeńka, kiedy był mały.

Zmarszczywszy brwi funkcjonariusz wziął do ręki fotografię Marka, odgiął oprawkę, wyjął tekturkę i obejrzał — nie było żadnego napisu. Odłożył wszystko na komodę — fotografię, podstawkę, szkiełko, tekturkę. Zofia Aleksandrowna opadła na fotel i rozpiakala się, zakrywając twarz dłońmi.

Funkcjonariusz grzebał w wysuniętych szufladach komody. Mięszona bielina pachniała świeżością i praniem, by to ten sam zapach, który unosił się w pokoju, gdy mama zmieniała pościel na tapczanie Saszy.

— Przecież rewizję przeprowadzacie u mnie — powiedział Sasza.

— Mieszkacie razem jako rodzina — odparł funkcjonariusz.

Wrócił do pokoju Saszy. Zofia Aleksandrowna wyszła za nim, rewizja była skończona, i nikt już nie kazał jej wracać do siebie. Myśl, że Saszę zabiorą, wyprowadziła ją ze stanu odrętwienia, zaczęła więc miotać się po pokoju nie wiedząc co robić; to podchodziła do Saszy, to niespokojnie wodziła oczami za funkcjonariuszem.

Pisał właśnie protokół rewizji. Dnia takiego a takiego, u obywatela takiego a takiego, na mocy nakazu takiego a takiego. Zabrano: dowód osobisty, numer; legitymację związkową, numer; legitymację komсомolską, numer; legitymację studencką, numer; notes. Zeszyt „Mosty i konstrukcje drogowe” po chwili namysłu odłożył na bok; postanowił nie zabierać.

Potem pytał:

— Gdzie można umyć ręce?

Zofia Aleksandrowna zakrztusiła się:

— Proszę, proszę, pokażę panu.

Zaferowana, zaczęła wysuwać szuflady komody, wzięła czysty ręcznik, i podczas gdy funkcjonariusz mył ręce, stała w drzwiach lazienki z ręcznikiem w dłoniach, potem podała go z żalosnym, przmilnym uśmiechem: może ten człowiek zrobi coś dla jej syna tam...

Funkcjonariusz wytarł ręce, wyszedł na korytarz, zatelefonował, rzucił w słuchawkę kilka niezrozumiałych, umówionych słów, z których dało się wyłowić tylko jedno — „Arbat”. Następnie odłożył słuchawkę i oparł się o drzwi z obojętną miną człowieka, który skończył swoją pracę. Żołnierz przy drzwiach również przyjął postawę swobodną, drugi wrócił z kuchni, drzwi nikt już nie pilnował, dozorca Wasilij Pietrowicz odszedł. I choć nikt nie powiedział sąsiadom, że rewizja została zakończona, w korytarzu zjawili się Michaił Jurijewicz i Gala.

Mama pakowała rzeczy Saszy, ręce jej drżały.

— Dajcie ciepłe skarpety — powiedział funkcjonariusz.

— Na pewno trzeba wziąć coś do jedzenia

— uprzejmie wręcił Michaił Jurijewicz.

— Pieniądze — dodał funkcjonariusz.

— Do diabła — przypomniał sobie Sasza. — Skończył mi się papierosy.

— Zaraz przyniosę od mojego.

Gala przyniosła paczkę papierosów „Boks”.

— Sasza, ma pan pieniądze? — pytał Michaił Jurijewicz.

— Coś tam mam.

Sasza pogrzebał po kieszeniach.

— Dziesięć rubli.

— Wystarczy — powiedział funkcjonariusz.

— Kantyna tam niedroga — wyjaśnił żołnierz.

chyliła węzelek — masz tu mydło, proszek do zębów, szczoteczkę, ręcznik, brzytwę...

— Brzytwy nie wolno — uprzedził funkcjonariusz.

— Przepraszam — wyjęła brzytwę — skarpetki, zmianę bielizny, chusteczki do nosa...

Głos jej drżał.

— Tu masz grzebyk, tak... a tu szaliczek... twój szaliczek...

Słowa przeszły w kłanie, zanosila się płaczem, nie mogła, umierała przebiegając te rzeczy, rzeczy jej syna, którego odrywają od niej, zabierają do więzienia. Zofia Aleksandrowna runęła na fotel, szloch wstrząsał jej niedużym, tegim ciałem.

— Niechże się pani uspokoi, wszystko będzie dobrze — mówiła Gala głaszcząc ją po ramieniu. — U Almazowów też syna zabrali, potrzyimali, wypuścili. Po co teraz płakać, no, stało się...

Ona zaś dygotała i powtarzała:

— To koniec, koniec, koniec...

Funkcjonariusz spojrział na zegarek.

— Zbierajcie się!

Rzucił niedopałek, wyprostował się, zachmurzył. Żołnierze obciągnęli mundury — przystępowali do wykonywania swoich obowiązków. Już nie udzielali rad, wzięli karabiny do rąk — byli gotowi do konwojowania. Funkcjonariusz gestem nakazał Michaiłowi Jurijewiczowi i Galę usunąć się z drogi, którą za chwilę będą wprowadzać aresztowanego.

Sasza włożył płaszcz, czapkę, wzięł węzelek. Żołnierz długo nie mógł sobie poradzić z francuskim zamkiem, wreszcie otworzył drzwi. Dźwięk ten dotarł do Zofii Aleksandrowny —

Samochód czekał w pobliżu domu. Sasza usiadł na tylnym siedzeniu między funkcjonariuszem i jednym z żołnierzy. Drugi żołnierz zajął miejsce obok kierowcy. W milczeniu jechali nocnymi moskiewskimi ulicami. Sasza nie zorientował się tylko, z której strony podjechał pod więzienie. Wysoka stalowa brama otworzyła się, wpuszczając samochód na długie, wąskie, zadaszone podwórze. Najpierw wysiedli konwojenci, potem Sasza, i na samym końcu — funkcjonariusz. Samochód natychmiast odjechał, Saszę wprowadzono do rozległego pustego pomieszczenia bez jakichkolwiek sprzętów, ławek czy stołów, cuchnącej chłodem gigantycznej sklepionej piwnicy z odrapanymi ścianami i wydeptaną cementową podłogą. Sasza domyślił się, że to poczekalnia, stąd zatrzymanych kieruje się do cel, tu formuje się grupy więźniów do wysyłki — drzwi wejściowe i wyjściowe węzienia, jego pierwszy i ostatni etap. Teraz poczekalnia była zupełnie pusta.

Funkcjonariusz i konwojenci nie pilnowali już każdego ruchu Saszy — stąd nie było ucieczki. Zakończyli swoją operację, dostarczyli aresztowanego, już za niego nie odpowiadają.

— Stójcie tu — powiedział funkcjonariusz.

Konwojenci poszli do wartowni, zza drzwi buchnął zapach mokrych szyneli i żołnierskiego kapuśniaku.

Sasza stał pod ścianą, swój węzelek położył na podłodze. Nikt go nie pilnował, nie nadzorował — przerwa między zakończoną operacją aresztowania i początkiem pobytu w więzieniu. Ale właśnie w ciągu tych kilku minut pozostawiony samemu sobie Sasza poczuł, że funkcjonuje już w nim świadomość nowej sytuacji. Jeżeli zrobi choć jeden krok — zatrzymają go, polecą stać gdzie stał, i będzie zmuszony podporządkować się, a to oznacza jeszcze większe upokorzenie. Nie trzeba dostarczać im takiego pretekstu. Tylko w ten sposób będzie w stanie zachować swoją godność, godność człowieka radzieckiego, człowieka, który dostał się tu przez pomyłkę.

Przeszedł jakiś wojskowy, nie zatrzymując się i nie patrząc na Saszę rzucił:

— Za mną!

Sasza podniósł swój węzelek i poszedł, nie czując już nic oprócz ciekawości.

Za wystętem pierwszego łuku sklepienia kryło się biurko. Wojskowy wydobyl formularz. Nazwisko? Imię? Imię odojcowskie? Rok urodzenia? Znaki szczególne? Tatuaże? Blizny? Ślady ran? Oparzeń? Znamiona? Odnosił kolor oczu i włosów... Podsunął też coś w rodzaju podpisu z tuszem do pieczęci. Sasza musiał odcisnąć na formularzu ślady swoich palców. Następnie wojskowy sporządził spis rzeczy: płaszcz, czapka, buty, sweter, spodnie, marynarka, koszula.

— Pieniądze!

Przelecił, zanotował sumę, kazał podpisać. Schował pieniądze do szuflady.

— Pokwitowanie przyniosą wam później — wskazał drzwi.

— Przejdźcie tam!

W małym pokoiku czekał na Saszę nalany grubas w cywilnym ubraniu.

— Rozbierzcie się!

Sasza zdjął płaszcz i czapkę.

— Buty!

Sasza ściągnął buty i został w samych skarpetkach.

— Wywleczone sznurowadła.

Grubas położył sznurowadła na stole i wskazał palcem ką.

— Stańcie tam!

W kącie znajdowała się tyczka z podziałką do mierzenia wzrostu. Grubas dotknął głowy Saszy marką i zawołał do kogoś za ścianą:

— Sto sześćdziesiąt siedem!

Następnie obszukał płaszcz i czapkę, scyzorykiem rozpruł podszewkę, pogrzebał za nią, położył rzeczy na drewnianej ławce, wskazał na garnitur.

— Zdejmijcie!

Sasza zdjął marynarkę.

— Zdejmijcie wszystko!

Sasza został w spodniach i podkoszulce.

Grubas obmacał spodnie i marynarkę, rozciął podszewkę, rozpruł zakładki spodni, wyciągnął pasek, położył go obok sznurowadeł, marynarkę i spodnie cisnął na ławkę.

— Otwórzcie usta!

Zbliżając do Saszy zaspianą twarz obejrzał wnętrza jamy ustnej, odchylił wargi — sprawdził, czy Sasza nie ukrył czegoś w ustach i między zębami. Potem wskazał spodnie i podkoszulkę.

— Zdejmijcie!

Grubas szukał tatuaży, blizn, śladów ran i oparzeń, ale nie znalazł.

— Odwróćcie się!

Sasza poczuł na pośladkach chłodne dotknięcie palców...

— Ubierajcie się!

Po chwili podtrzymując ręką opadające spodnie bez paska i kłapiąc o podłogę spadającymi z nóg butami, Sasza w towarzystwie strażnika szedł przez krótkie korytarze, wchodził po schodach, schodził ze schodów ogrodzonych metalową siatką, strażnik uderzał kluczami o metalowe kraty, zgrzytały zamki, wszędzie widać było zamknięte naглуcho metalowe drzwi do cel.

W jednym z korytarzy zatrzymali się. Oczekujący ich nadzorca otworzył celę Sasza wszedł, Drzwi zatrzasknęły się.

C.D.N.

Hum.: MICHAŁ B. JAGIELLO

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

Sprawiła to wrażenie spokojnych przygotowań do podróży — Sasza wyjeżdża do jakiegoś nieznanego miasta, na północ czy południe, a przyjaciele doradzają mu co ma zabrać.

Funkcjonariusz oparty o framugę drzwi palił papierosa, jeden z żołnierzy rozmawiał z Galą, drugi również palił, przykucałszy pod ścianą, Michaił Jurijewicz uśmiechał się do Saszy chcąc dodać mu otuchy, i Sasza też się uśmiechał: czuł, że jego uśmiech wygląda żałośnie, ale inaczej nie mógł.

— Saszeńka, zobacz, co ci włożyłam — Zofia Aleksandrowna trzęsącymi się rękami roz-

oczekiwała go i bała się równocześnie. Wybiegła na korytarz, zobaczyła Saszę w płaszczu i czapce, uczepiła się go kurczowo, drząc na całym ciele i zachłystując się szlochem. Michaił Jurijewicz łagodnie przytrzymał ją za ramiona.

— Zofia Aleksandrowna, to nie nie da, naprawdę nie.

Sasza pocałował matkę w rozczochrane siwe włosy, Michaił Jurijewicz i Gala przytrzymały ją, Zofia Aleksandrowna wyrwała się im z krzykiem.

Sasza wyszedł z mieszkania.



Polemiki • Listy • Opinie

SKĄD U MNIE NASTRÓJ SMUTKU?

Pocztówki z wakacji są z reguły radosnymi pozdrowieniami. Moja korespondencja nie będzie niestety ani radosna, ani optymistyczna, choć czas urlopu mija w warunkach, o jakich można marzyć — trzy tygodnie bez deszczu i w pełnym słońcu.

Skąd więc u mnie nastrój smutku, a nawet przygnębienia i niepokój? Otóż stąd, że mój urlop ma charakter wypoczynku czynnego? Dzieci na kolonjach i młodzież na obozie wędrownym ze stałą bazą i codzienną obserwacją naszych milusińskich rodzi przygnębiające refleksje na temat kultury fizycznej w naszych szkołach, stanu turystyki szkolnej i pracy tych wszystkich organizacji, np. ZHP, które o rozwój zainteresowań turystyczno-sportowych dbać powinny.

Ogólny lament naszej działy nie się po górach już od samego rana, kiedy to po pobudce należy wyjść na gimnastyczny rozruch. Niechęć dzieci do tych ćwiczeń jest przerażająca a ich jakoś świadczy o tym, że ćwiczenia gimnastyczne są na lekcjach wychowania fizycznego traktowane po macoszemu.

Po raz pierwszy pisał się odczuwać, gdy naley wyjść poza teren ośrodka na dłuższą wycieczkę pieszą, a w przypadku młodzieży z obozu, np. na dwu-, trzydniową wędrowkę po Gorcach, Tatrach czy Pieninach. Są oczywiście chlubne wyjątki, które wykorzystują się podczas długich spacerów po górach, ale dużej części młodzieży nie są w stanie zachęcić różnorodnie formy przemierzania, np. zdobywania punktów na Górską Oznakę Turystyczną.

Po raz trzeci, i tu już szlochamy wszyscy, choć z różnych powodów, gdy trzeba podjąć rywalizację sportową w obszarze międzynarodowej, np. z młodzieżą z NRD, która coraz częściej i liczniej odwiedza nasz kraj w zorganizowanych grupach.

Młodzież płacze, bo to współzawodnictwo ich w zasadzie nie interesuje, natomiast my — ich wakacyjne opiekunowie — izy nimy, bo każdy kontakt kończy się praktycznie katastrofą, bo młodzież nie ma „leje” naszą w co się da, i ile się da, bo każda konfrontacja ma jednostronny charakter i przypomina w określonym wymiarze „kopanie” leżącego. A już prawdziwa rozpacz ogarnia człowieka nad wodą, gdzie większość naszych dzieci, jeżeli już do tej wody wejdzie, to może się w niej co najwyżej pobroczać, podczas gdy dzieci niemieckie wykonują ewolucje, które wzbudzają ogólny zachwyt i podziw. Ewentualnych poszukiwaczy tzw. obiektywnych przyczyn tego stanu rzeczy w polskiej szkole od razu uprzedzę, że znany mi jest fakt, że w NRD nauczycielowi wprost oprostnie opłaca się dobrze pracować. Jest to stwierdzenie bezsporne, które nie może jednak usprawiedliwiać alarmującego już regresu kultury fizycznej w naszym kraju.

Ze sportem mam tyle wspólnego, co sam dla przyjemności uprawiam, natomiast kolonie i obozy prowadzą już ponad dwadzieścia lat i z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że w ciągu tego stosunkowo krótkiego czasu, wady postawy wśród młodzieży stały się plagą, że znacznie pogorszyła się sprawność fizyczna i wydolność wysiłkowa oraz zdrowotność. Niewesołe refleksje i poważna zaduma budzi fakt, gdy np. w piłkę siatkową sześciu ludzi tzw. kadry kolonijnej, ledzących w sumie około 240 lat (!) wygrywa bez problemu z zespołem młodych, szesnasto-, osiemnastoletnich uczestników obozu. Zresztą wyniki jest im całkowicie obojętne, co widać po ich zachowaniu na boisku, podczas gdy dinozaurów autentycznie cieszy każda wygrana piłką. Obserwując „bapa” do sportu naszej młodzieży, doprawdy nie wiem, skąd bierze się lament wyrażanych speceń z powodu upadku sportu wycieczkowego w Polsce i szukania przyczyn tegoż upadku nie wiadomo gdzie. Przecież to oczywiste, że jedną z najważniejszych przyczyn coraz niższej pozycji naszego sportu wycieczkowego w hierarchii światowej i europejskiej jest regres wychowania fizycznego w szkołach i kulturę fizycznej w ogóle.

Trzeba sobie też otwarcie powiedzieć, że w najbliższym czasie nie należy się spodziewać zwistunów poprawy, gdyż w naszym kraju — jak dotąd — nie traktuje się inwestycji w dziedzinie kultury fizycznej i sportu jako ekonomicznie opłacalnych fabryk zdrowia, tylko jako drugorzędne inwestycje społeczne, które w radzie „społecznie” uzasadnionej konieczności, jak to się zwykło latami mawiać, w pierwszej kolejności podlegają różnorodnym cięciom oszczędnościowym.

W swojej pocztówce z wakacji chciałbym również zwrócić uwagę, że mocno zdawało mi się, że chodzący i przy różnych okazjach wymowne są słowa: „Wszystkie dzieci są nasze”. Jest to w pełni prawdziwe, bo np. dzieci niemieckie i to w wieku szkolnym podstawowym, już nie są nasze, gdyż za przejazd podlegają muszą płacić bilety normalny, a gdy chcą wjechać kolejką na Górę Parkową w Krynicy, też nie są naszymi dziećmi. I tak już na każdym kroku i w każdej sytuacji, w której dzieciom polskim przysługują zniżki.

Zastrzegam się od razu, że nie znam treści międzynarodowych umów z zaprzeczonymi krajami w sprawie tzw. wakacyjnej wymiany dzieci i młodzieży, ale w przypadku zorganizowanych grup coś w tych umowach nie zostało dopowiedziane do końca. Stąd incydentalne przypadki, które dyskretnie przemilczę, ale do których postaram się wrócić w swojej powakacyjnej korespondencji.

STANISŁAW SOWIŃSKI

CZY TO BYŁA MISJA?

O przyczynach, przebiegu i skutkach Powstania Warszawskiego napisano już wiele. Zapewne wiele jeszcze zostanie napisane. Każde pokolenie stawia pytania na nowo i szuka pogłębionych odpowiedzi.

Lipiec 1944, to już nie tylko ostra walka o „rząd dusz”, między lewicą a Delegaturą rządu w Londynie, ale realna działalność PKWN z jednej strony i brak znaczących dokonań „Burzy” z drugiej. Stanowisko Józefa Stalina było jednoznaczne i znane — ówczesnym przywódcą. Płk. Leon Mitkiewicz, przedstawiciel Polski przy głównym sztabie aliantów w Waszyngtonie (Combined Chief of Staff), relacjonował, iż Józef Stalin zapytany przez ówczesnych sojuszników, jak ustosunkuje się do walk powstańczych AK — dał jesienią 1943 taką odpowiedź: O ile te siły nie podporządkują się uprzednio dowództwu radzieckiemu, to nie będą ich tolerować.

Godzinę „W” wyznaczono i wywołała ona lawinowe konsekwencje. W zageszczonej polityczno-militarnej sytuacji pojawili się kapitan (...) głębokiego wywiadu Armii Czerwonej — jak sam się określał — Konstantego Kalugina wywołał dodatkowe implikacje. Zdumiewająca jest „kariera” kapitana. 2 sierpnia 1944 r. był w Komendzie Obwodu AK, 3 sierpnia w sztabie „Montera”. 5 sierpnia depeszywał: „Moskwa — Marszałek Towarzyszczy Stalin. Nawigatorem osobistą łączność z dowódcą garnizonu Warszawy, który prowadzi bohaterską walkę powstańczą z hitlerowskimi bandytami (...). Po zorientowaniu się w ogólnej sytuacji wojennej doszedłem do przekonania, że pomimo bohaterskiej postawy wojska i ludności całej Warszawy są następujące potrzeby, pokrycie których pozwoliłoby na szybsze zwycięstwo w walce z naszym wspólnym wrogiem. Potrzeby są następujące: brak broni automatycznej, amunicji, granatów i kb. ppnc (...).”

Depesza ta została przekazana via Londyn do Moskwy, gdzie wówczas przebywał Stanisław Mikołajczyk. Premier rządu londyńskiego oddał depeszę Józefowi Stalinowi 9 sierpnia. Generałissimus oświadczył, iż Konstantego Kaluginę nie zna. Podobnie Władimir Molotow w rozmowie z brytyjskim ambasadorem Williamem A. Harrimanem stwierdził, że władze radzieckie nie mogą zidentyfikować Kaluginę i dlatego zamierzają wysłać swego ofi-

cera do Warszawy. Kapitan nie ograniczył swej działalności w stolicy do wysłania wspomnianych depesz. 11 sierpnia 1944 r. została wysłana odezwa „Do Ukraińców, I Azjatów” wzywająca by zmieć się siebie hańbą zdrady swego narodu. Odezwa była podpisana: „Znajdujący się przy polskim dowództwie ludu powstańczego kapitan RKKK” (Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej — G.W.) Kalugin.

Pisywał także artykuły w wydawanej legalnie podczas powstania „Armii Ludowej”. Dopiero 17 sierpnia dostarczone mu pismo podpisane przez Antoniego Chruściela „Montera”: „Pan Kapitan Czerwonej Armii Kalugin. I. Wobec tego, że po upływie 10 dni od czasu wystąpienia Pańskiej depeszy do Moskwy nie ma żadnej odpowiedzi i Pańska oficjalna misja przy moim sztabie nie została ani przez Moskwę ani przez marszałka Rokossowskiego notyfikowana — do czasu wyjaśnienia przestaje Pana uważać za oficjalnego przedstawiciela Armii Sowieckiej”.

Na pismo to kapitan udzielił następującej odpowiedzi: „Nie uważałem się i nadal nie uważam za oficjalnego przedstawiciela przy dowództwie AK w m. Warszawie, ponieważ nie posiadam do tego żadnych pełnomocnictw czy wskazówek od rządu radzieckiego ani od Sztabu Generalnego RKKK. Ponownie informuję Pana, iż jestem zwiadowcą pewnej jednostki RKKK na głębokim zapleczu wroga. Z szeregu niezależnych ode mnie przyczyn zmuszony byłem zatrzymać się w Warszawie (...)”.

Stanowisko więc Kaluginę jednoznaczne, ale sprawa na tym się nie zakończyła. Mjr Jan Kamiński „Cozas” 2 września 1944 r. zawiadomił płk. Felicjana Majorkiewicza, ówczesnego pracownika sztabu AK, że „kilka dni temu radiostacja powstańcza przejęła depeszę skierowaną przez marszałka Rokossowskiego do kpt. Kaluginę, w której wyznaczał go swym oficerem łącznikowym przy płk. „Monterze”.

16 września „Monter” polecił kapitanowi wraz z innymi trzema oficerami przeprawić na wschodni brzeg Wisły, celem nawiązania łączności z Armią Czerwoną. Przeprawa odbyła się w nocy z 17 na 18 września 1944 r. Bezpośrednio łącznie z marszałkiem Konstantym Rokossowskim potwierdziła przeprawę. Stało się to 24 września. Sam kapitan Konstanty Kalugin wiele lat po powstaniu, bo w 1968 r. przedstawiał swą inicjatywę z depeszą do Józefa Stalina i całą swą działalność jako wynikającą z pobudek emocjonalnych. Widząc determinację walczącej ludności chciał przyspieszyć moment wyzwolenia. Osoba kapitała wzbudzała nadal wiele jeszcze emocji, gdyż kierowanie się przez oficera głębokiego wywiadu emocjonalnymi inspiracjami nie wszystkich przekonuje.

GRZEGORZ WRÓBEL

List Grzegorza Wróbla należy potraktować jako wniosek o ostateczne wyjaśnienie dziwnych spraw Konstantego Kaluginę z czasów powstania warszawskiego. Rozumem też, że autor opowiada się raczej za tym, że pobył kapitała artylerii Armii Czerwonej w Warszawie w tym czasie nie był przypadkiem. A więc kapitan Konstanty Kalugin był z misją w Polsce.

Otóż Ryszard Nazarewicz w książce „Z problematyki politycznej powstania warszawskiego 1944” cały rozdział poświęca kapitanowi Konstantemu Kaluginowi, który w czasie współpracy z PPR i AL nosił pseudonim „Aleksandrin”. Podaje on też liczne fakty z przeszłości „Aleksandrina”, który służył w 1131 pułku 6 Armii i 28 maja 1942 roku ciężko ranny w czasie okrajania pod Charkowem dostał się do niemieckiej niewoli. Wszelkie więc opowieści o tym, że został zrzucony ze spadochronem jako oficer wywiadu można włożyć między bajki. W Centralnym Archiwum KC PZPR zachowały się dokumenty z czasów współpracy kpt. Konstantego Kaluginę z PPR i AL. Był on wówczas w Częstochowie, gdzie jako oficer Roskiej Ochotniczej Armii prowadził pracę wśród radzieckich jeńców. Chciał powrócić do walki z faszystami i dlatego szukał kontaktu z polskim podziemiem. Udało mu się ten kontakt nawiązać.

„W lipcu 1944 roku — pisze Ryszard Nazarewicz — Kalugin został wysłany do oddziałów AL na Lubelszczyznę. W czasie pobytu w sztabie obwodu AL u płk. Grzegorza Korczyńskiego zetknął się z oddziałem płk. Iwana Banowa — „Czornego”, dowódcy radzieckiego zgrupowania partyzanckiego o charakterze rozpoznawczo-dywersyjnym. Szczegóły tego spotkania nie są znane. Pewne jest, iż w końcu lipca Kalugin znów znalazł się w Warszawie”.

W kontaktach ze sztabem AK powoływał się na przynależność do „Grupy Czornego”. Czy czynił to bezpodstawnie? Tego — niestety — nie wiemy.

Stosunek władz powstańczych do kapitana Konstantego Kaluginę był bardzo różny: od pełnej ufności do pełnej podejrzliwości.

Felicjan Majorkiewicz w „Latach chmurnych, latach dumnych” pisze wprost: „Kpt. Kalugin wracając na Wschód pozostawił za sobą zagadkę, która zapewne nieprędko zostanie rozwiązana. Osobiście sądzę, że występował on w roli łącznika-samozwannego”.

Alfred Paczkowski („Wania”), który wraz z Kaluginem przeprawił się na prawy brzeg Wisły, w swoim pamiętniku „Ankieta cichociemnego” uśmierzł go: „W rzeczywistości oficer formacji Własowa i deserter z nich, samozwańczy przedstawiciel Armii Czerwonej, po przekroczeniu Wisły na Pragę rozstrzelany za zdradę i kolaborację”.

Zresztą ja również, pisząc chyba przed dwoma lub trzema laty o Konstantym Kaluginie w „Odgłosach”, uśmierzilem go za Alfreda Paczkowskim. A tymczasem dotarł mi do sztabu i Armii Wł. rozmawiał z generałem Zygmuntem Berlingiem i został przewieziony do Lublina, gdzie „relacjonował swoją działalność gen. Nikołajowi Bułganinowi, wówczas przedstawicielowi rządu radzieckiego przy PKWN. Następnie zajął się nim kontrwywiad”. W ZSRR stanął przed sądem i został skazany na 10 lat więzienia. Po śmierci Józefa Stalina zrehabilitowany powrócił do Zagłębia Donieckiego, gdzie pracował jako inżynier budowlany. W marcu 1968 roku rozmawiał w Moskwie z Ignacym Łoga-Sowińskim i Janem Ptaszkiem. Ten ostatni rozmówcę tenż mi opublikował dwa lata temu w „Życiu Literackim” zapał i wydobył przeszło 50 lat i starał się o prawa kombatanckie, do otrzymania których potrzebne mu było poświadczenie o współpracy z PPR i AL.

„Ale czy to już wszystko, co wiemy o tej sprawie? List Grzegorza Wróbla potwierdza, że nadal pozostają liczne wątpliwości i pytania.”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WOJENNE LOSY ZGIERZAN

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Zgierza i Muzeum Miasta Zgierza ukazała się broszurka autorstwa Bogdana Bejma pt. „Powstanie warszawskie z kręgu zgierskiego”. W broszurce tej zamieszczono życiorys żołnierzy Armii Krajowej ze Zgierza, którzy brał udział w powstaniu warszawskim. Zdaniem Bogdana Bejma w powstaniu walczyło ich blisko 50.

Minęły lata. „22 z naszych powstańców nie żyje — pisze Bogdan Bejma — Część rozproszyła się po świecie. O wielu, być może, nawet się nie dowiemy, bo zmarli też ich bliscy. Niekiedyż życiorysy ich nie będzie można już uzupełnić. Toteż praca ta nie może być uznana za kompletną ani prawdziwie obiektywną od błędów”.

Ważne jednak, że Bogdan Bejma zadał sobie trud, aby zebrać w jednym zeszycie wszystkie dane, jakie się dało uzyskać o zgierzanach, którzy walczyli w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Pożyteczna to i cenna publikacja. Jej autor zadaje „Pytania czekające na odpowiedź”, wśród których jest min. lista 10 prawdopodobnych uczestników powstania warszawskiego. Być może wśród Czytelników „Odgłosów” znajdują się ludzie, którzy

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

będą mogli pomóc w uzyskaniu tych odpowiedzi. Autor prosi bowiem „o uwagi i uzupełnienia”. Tym, którzy zainteresowałby się omawianą publikacją podaje adres TPZ: „Towarzystwo Przyjaciół Zgierza”, ul. 1 Maja nr 5, 95-190 Zgierz.

REDAKTOR DYŻURNY

FUNDACJA „POMOC SZKOLE”

Z inicjatywy Rady Krajowej PRON i Krajowego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole w dniu 16 czerwca 1986 roku zarejestrowana została w Warszawie Fundacja „Pomoc Szkole”. Podstawowym zadaniem fundacji jest gromadzenie środków finansowych i przekazywanie ich na konto Narodowego Czynu Pomocy Szkole w celu wsparcia wysiłków państwa dla zapewnienia dzieciom i młodzieży należytych warunków nauczania. Aby sprostać potrzebom wyżu demograficznego tłoczącego się już przed drzwiami placówek oświatowych, należałoby budować po około 300 szkół rocznie. Jednakże ze względu na ograniczone możliwości finansowe państwa a także niedostatek mocy wykonawczych, realnie można liczyć na przyrost w ciągu roku nie więcej jak 180-200 obiektów. W tej sytuacji brakujące 100 szkół trzeba wznosić ze społecznych środków i w dużej mierze społecznymi siłami. Nie chodzi tu zresztą tylko o nowe inwestycje ale także o rozszerzenie skali prac remontowych w placówkach oświaty. Naprzeciw tym potrzebom wychodzi działalność Fundacji, która realizuje swoje cele poprzez:

1. prowadzenie działalności gospodarczej w kraju i za granicą, zgodnie z obowiązującymi w tym zakresie przepisami prawa,
2. promowanie dokonań twórczych i naukowych na rzecz oświaty i wychowania oraz inspirowanie prac naukowo-badawczych,
3. współpraca ze środowiskami naukowymi, kultury i oświaty oraz instytucjami państwowymi i organizacjami społecznymi krajowymi i zagranicznymi.

Organami Fundacji są Rada Fundatorów, na czele której stoi przewodniczący Krajowego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole — prof. dr hab. Zbigniew Gertych oraz Zarząd Fundacji, którego pierwszym prezesem był zmarły niedawno prof. dr hab. Janusz Górski. Obecnie tę funkcję pełni mgr Zdzisław Szymański. Zarząd Fundacji upoważniony jest do powoływania przedsiębiorstw produkcyjnych, usługowych i handlowych, a także wszelkiego typu spółek krajowych oraz organizowanych z udziałem kapitału zagranicznego. Ze względu na ważny społeczny cel, jaki przyświeca tej działalności przedsiębiorstwa powstałe w ramach fundacji zwolnione zostały z podatku dochodowego. Podstawowe kierunki działalności gospodarczej podejmowane przez fundację to:

1. działalność budowlana i remontowa, polegająca przede wszystkim na realizacji zadań inwestycyjnych, wykonywaniu remontów w placówkach oświatowo-wychowawczych oraz świadczeniu usług projektowo-kosztorysowych, nadzoru autorskim, inwestorskim i technicznym,
2. działalność produkcyjna w zakresie pomocy naukowych i przyborów szkolnych, odzieży szkolnej i sportowej, sprzętu specjalistycznego dla placówek oświatowo-wychowawczych, znaków drogowych i inne,
3. działalność wydawnicza i poligraficzna, ze szczególnym uwzględnieniem lektur szkolnych, literatury,
4. działalność gospodarczą związaną z zaspokajaniem potrzeb ogólnospołecznych, której wyniki będą powiększały fundusze fundacji.

W roku 1986 rozpoczęły już działalność pierwsze jednostki gospodarcze. Uruchomiono w Warszawie Zakład Nadzoru Technicznego związany przede wszystkim z remontami i budową szkół oraz obiektów towarzyszących. W Baniosze pod Warszawą rozpoczął działalność Zakład Znaków Drogowych a w Rzeczycy Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe „Elanda” zorganizowane w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Z działalności gospodarczej za rok 1986 wypracowano zysk, z którego kwotę ponad 6 mln złotych przekazano na rachunek NCPS.

W roku 1987 rozpoczęły działalność dalsze Zakłady Fundacji: Oficyna Wydawnicza „Patria” w Warszawie, Zakład Zaopatrzenia i Zbytu w Warszawie, Zakład Produkcji Wyrobów z Drewna w Kulicach oraz Zakład Wielooddziałowy w Łodzi.

Zarząd fundacji planuje osiągnięcie z działalności zakładów za rok 1987 zysku w wysokości 90 mln złotych i 45 tys. dolarów.

Z początkiem roku 1987 rozpoczął działalność Zakład Wielooddziałowy w Łodzi uruchamiając działalność następujących oddziałów:

1. Oddział Robót Remontowo-Budowlano-Instalacyjnych,
2. Oddział Robót Elektrycznych,
3. Oddział Nadzoru Technicznego,
4. Oddział Produkcji Odzieży.

Podjęcie działalności produkcyjnej przez zakład w Łodzi spotkało się z przychylnym stosunkiem władz partyjnych i administracyjnych miasta Łodzi oraz RL PRON. Zakład zatrudnia obecnie ponad 60 osób, wartość wykonanych dotychczas prac wynosi ponad 30 mln złotych. Do końca roku 1987 zakład planuje wykonanie usług i produkcji o wartości ponad 100 mln zł i osiągnięcie w tej działalności ponad 20 mln złotych zysku. Dużą pomocą w etapie działalności zakładu w Łodzi okazało Kuratorium Oświaty i Wychowania przekazując niewielkie pomieszczenia w budynku magazynowym, gdzie własnymi siłami i środkami przeprowadzono remont uzyskując w ten sposób siedzibę. Warunki w jakich zakład działa są ciężkie i absolutnie niewystarczające do kierowania zakładem w dłuższym czasie. Od kilku miesięcy zakład zwraca się bezskutecznie do Wydziału Spraw Lokalnych Urzędu Miasta Łodzi o przydział lokali na biuro zakładu oraz na działalność produkcyjną. Starania jak do tej pory są bezowocne. Pomimo tak trudnych warunków lokalowych zakład stara się rozwijać działalność licząc, że zarówno efektywność jak i administracyjna władza miasta widząc konkretne efekty poczynił udzieli nie tylko moralnego poparcia, ale także pomoże w zabezpieczeniu podstawowej bazy lokalowej dla zakładu. Wierzymy, że władze wezmą pod uwagę fakt, że działalność Fundacji służy nie tylko wykonywaniu określonych prac na rzecz oświaty oraz innych instytucji, ale także, że zakład działa na zasadach pełnego rozrachunku gospodarczego, osiągając zysk, który zasiliłby duże środki budżetowe wydatkowane na oświatę i wychowanie.

Liczymy także, że w obecnej sytuacji gospodarczej kraju, kiedy stłopy przed wdrożeniem do praktyki gospodarczej II etapu reformy, działalność takich instytucji jak Fundacja „Pomoc Szkole” winna być szczególnie popierana.

JERZY SZPAKOWSKI

Dyrektor Zakładu Wielooddziałowej Fundacji „Pomoc Szkole” w Łodzi

Na placu Zwrotnicowej Rewolucji tryska fontanna gigant na wysokość trzydziestu metrów. Sześć mniejszych otaczających ją kółem sika cienkimi strumykami. Plac przynika do Kreszczatki i wystarczą spojrzeć w tamtym kierunku, aby zobaczyć inną fontannę, po drugiej stronie ulicy, która nieczynna potężna rzeka kotłuje się na tarkopodobnym zboczu i wali się do ogromnego zbiornika.

Na placu Zwrotnicowej Rewolucji tłum jest tak gęsty, że z trudem można się przecisnąć do pracujących intensywnie malarzy i rysowników. Jednocześnie na środku placu trwa konkurs tańca akrobatycznego. Młodzi ludzie prezentują swoje umiejętności przed publicznością, która nagradza ich żywiołowymi oklaskami. Sensacja? Dla nas nie, ale dla kijowian jest to jedna z form „pieriestrojki”. Jeszcze do niedawna żaden artystyk nie odważył się rozłożyć farb i kartonów na jakiegokolwiek ulicy. Taki czyn byłby

śroście chowa się za domy, ale upał nie maleje. Ulice Kijowa są barwne, ruchliwe, tłoczne. W kinach wyświetlają „Czernobyl — kronika trudnych dni”, ale ludzi mało, jakos nie bardzo chcą oglądać niedawną tragedię.

Sporo spacerowiczów paradyje z zawieszonymi na kieszonkach medalami i odznakami. Im więcej na piersi, tym człowiek jest bardziej zasłużony, bardziej ważny. Sporo wśród nich weteranów ostatniej wojny, ale widywałem ludzi zupełnie młodych szczytających się nieznany mi bliżej odznaczeniami. Taki tu obyczaj.

I jak na całym świecie, w tłumie na Kreszczatki przesuwają się pary zakochanych często objętych, przytulonych do siebie. Ale to także już nie wywołuje sensacji i tego także nie zabrania żaden kodeks.

KIJOWSKO-PIECZERSKA ŁAWRA

Z Kreszczatki idę do Kijow-

o zaoferowaniu wielomilionowej rzeszy patników, którzy zostawiali tu swoje ostatnie kopytki, o bogactwie mnichów i ich, nie zawsze zgodnym z dekalogiem, życiu.

W niejaki oddaleniu siedzą trzy stare kobiety.

— A niech cię pokarzą, Mikołaj Cudotwórca. — krzyczy nagle jedna. — Ludzie, nie słuchajcie, to przecież bezbożnik!

Przewodnik purpurowieje, ale powiada ze spokojem:

— Obywatelki, proszę nie krzyczeć, tu nie bazar, a kompleks zabytków o znaczeniu historycznym.

— Jakże zabytki! — zrywa się z ławki druga. — Ty sam jesteś zabytek. To święte miejsce, po którym powinien chodzą na kolanach...

Przewodnik przerywa wykład i podbiega do kobiet.

— Jeśli nie przestaniecie, wezwę milicję.

— A wezwij, wezwij — lamentują. — Lepiej być się pomodli, o tak, jak to my czynimy!

I kobiety kreślą na piersiach

potrzebne jest specjalne szkło powiększające. Oto np. kompozycja „Polonez Ogińskiego”: białozłoty kwiat chryzantemy mający 99 płatków. Długość całego kwiatu — 5 mm. Na jednym z owych 99 płatków o wymiarach 2x5 mm zostały wygrawerowane nuty poloneza Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny” (około 600 znaków muzycznych). Inny eksponat: portret Ernesta Hemingwaya. Jest to akwarela wykonana na przekroju ziarna drzewa.

Oglądając wystawę — a kolejką odwiedzających liczy parę setek osób — aż się nie chce wierzyć, że eksponaty na niej prezentowane są dziełem rąk ludzkich.

Nie sposób opisać wszystkiego, wspomnę jedynie o najmniejszych księżkach świata. Jej powierzchnia wynosi zaledwie 0,6 mm kwadratowego. Na 12 stronkach został zapisany „Kobziarz” Tarasa Szewczenki oraz wykonany jego portret, a także kopia „Chaty ojca”. Grubość liter — 0,0035 mm. Książka została zszycia nicią pajęczą.

I już na zakończenie wspomnę o rosyjskiej bajce, w której opowiada się o niezwykle zdolnym kowalu, który potrafił nawet podkuć zwyczajną pchłę. Teraz, na wystawie prac Nikołaja Siadristego, bajka znalazła potwierdzenie w życiu. Oto zasuszone pchła ma na końcach odnóg przymocowane złote podkowy...

Autor tych cudów nie odpowiada na liczne pytania o metodę pracy, tak mówi:

— Bywa, że na przygotowanie specjalnego przyrządu tracę więcej czasu niż na wykonanie samego eksponatu. A jak pracuję? Ruchowi mikroskopijnego ryłka przeszkadza mój własny oddech i bicie serca. Dlatego ruchy ryłka muszą odbywać się pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca, przy ustrzymanym oddechu. Nawet puls mój staje się wówczas wolniejszy...

Niestety, nie chce powiedzieć w jaki sposób dziurawi ludzki włos, jak go szlifuje, by stał się przezroczysty, w jaki sposób wprowadza do tego włosu złotą różę. Nie zdradza tajemnicy jak wykonać elektromechanizm dwadzieścia razy mniejszy od ziarnka maku i by ten mechanizm chodził! Nikołaj Siadristy nim zabrał się za swoje mikrominiatury długi czas pracował jako agronom, potem był wykładowcą w jednym z instytutów naukowych, uprawiał wyczynowy sport podwodny. Teraz zadziwia świat swoją sztuką.

Nad Kijowem gęstnieje mrók i wzdłuż ulic zapalają się złote kule lamp. W ich blasku fontanny nabierają srebrzystego odcienia. Na statkach płynących po ciemnym Dnieprze pojawiają się kolorowe paciorki świateł sygnalizacyjnych.

W hotelu „Zwrotnicowa” zabieram się za lekturę pracy Piotra Gołobuckiego pt. „Zaprowadzenia chrześcijaństwa na Rusi — prawda i wiadki”.

Obserwacje (bułgarskie)

NIEZMIENNE ATUTY

to przede wszystkim słońce i woda. Ale i w Bułgarii aura zaczyna płać figle; gospodarze byli dla przykładu zdziwieni i przestraszeni gigantyczną burzą i gradobiciem, jakie w pierwszych dniach lipca przeszło między innymi nad Złotymi Płaskami. Grad wielkości dorodnych orzechów laskowych walił dobry kwadrans w przerażonych Bułgarów, którzy zwykle przelotny deszcz przetrzymują na plaży, a teraz nie zdążyli się ewakuować na czas.

WYGODNICTWO RATOWNIKÓW

Brać wychowaną nad Bałtykiem nie jest przyzwyczajona do wywieszania czerwonej a często i czarnej flagi przy lada szkwałe. Dochodziło też na tym tle do niepotrzebnych nieporozumień i dyskusji z Bułgarami. Pisze niepotrzebnych, gdyż cały sprzęt ratunkowy dyżurujący wzdłuż licznych stanowisk stanowiły zwykle... pletwy, maska do nurkowania oraz gwizdek. Nie ma więc o co kruszyć kopii.

Gwoli ścisłości dodać należy, że przynajmniej w Złotych Płaskach wszyscy ratownicy prezentowali się znakomicie w ciemnych okularach słonecznych, a każdemu zza uszu opadał na szyję podtrzymujący je łańcuszek (taką teraz u nich moda czyli trend...), Było też kilka motorówek, ale służyły wyłącznie do popisywania się przed dziewczynami.

NA PLAŻY UCZĄ SIĘ JĘZYKÓW OBCYCH

Byłem kilkakrotnie zagadnięty przez faceta w okularach na łańcuszku: — Ty chcesz jakiś biznes? Marki? Dolary? A co ty sprzedasz? Nie masz okulary? — bractwo zrobiło się bardziej „namolne” i obcesowe niż kilka lat wstecz, a na niektórych ulicach Warny wręcz trudno się od miejscowych „biznesmenów” opędzić.

Mam smutne wrażenie, że sami ich tego nauczyliśmy. Większość rodaków (nie ludźmy się — większość!) przyjeżdża po słońce, wino i walutę. Na plaży słychać polskie rozważania z cyklu: „co zrobić, żeby się wczasy wrócić?” A wniosek jest ten sam zwykle: maksymalnie oszczędzać lewy, sprzedać co się da i za wszystko kupić walutę.

Człowiekowi robi się naprawdę smutno i przykro, gdy starsza pani, o wyglądzie emerytowanej nauczycielki, podchodzi na plaży i pyta: — Uprzejmie pana przepraszam, ale czy najzupełniej przypadkiem nie orientuje się pan w jakiej cenie można tu kupić marki zachodnie?...

POLSKI TURYSTA

— to w ogóle jakby osobny gatunek ludzi. Nabraliśmy ostatnimi laty tak dziwnych, niesympatycznych manier, że zaczyna się to stawać smutną regułą, przedmiotem dowcipów i anegdot.

Opowiadał mi znajomy dziennikarz o wielkiej wyprawie do stolicy Japonii jednej z naszych najbardziej renomowanych orkiestr. Samolot w Tokio wylądował już nocą, ale na polską ekpę czekał cały hotel, mimo późnej pory „pod parą” była kuchnia, czekano na gości w barach, restauracji, kawiarni. W kwadrans po rozdaniu kluczy — w hotelu zapadły egipskie ciemności. Szybko okazało się, że wystrzeliły „korci”, choć przerażeni Japończycy długo nie mogli znaleźć przyczyny. Przecież taka awaria nie zdarzyła się w ich renomowanym hotelu od początku jego istnienia! A przyczyna była prozaiczna: polski turysta zawsze w kwadrans po przybyciu do hotelu otwiera konserwę i włącza elektryczne grzałki oraz maszynki.

CIĘŻKI SEZON

Ten sezon, po ciężkiej i długotrwałej zimie, do lekkich nie należy. Biję w oczy pewien — delikatnie mówiąc — niedostatek niejako klasycznych potraw i napojów. Choć tłumaczył mi bułgarski kolega po fachu, że i oni nie chcą być w tyle i także próbują zmniejszyć spożycie alkoholu.

Brakowało mi w tym roku choćby bogactwa konfitur i dżemów w sklepach, co było tu tradycją. Wideo Bułgarów stojących w kolejkach po... pomidory wręcz szokował.

Zniknął ze sklepów „Słoneczny Brzeg”; podobno Polacy po kilku godzinach stania w kolejce wykupywali go torbami...

„ROLBA” — TO JEST TO!

Choć turystyczną hosę mają Bułgarzy już chyba za sobą, a wśród kilkudziesięciu hoteli Złotych Płasków wyraźnie mniej widzi się najbardziej poszukiwanych przybyszów, tych plażujących za wszystko „twardą” walutą — wciąż wiele możemy się od nich nauczyć. Jak choćby rzecz u nas nieosiągalna: czysty, pracujący od rana do późnej nocy bar na plaży. Mały, ledwie kilka stołków, ledwie kilka prostych, ciepłych potraw, ale zawsze obowiązkowo ZIMNE napoje — piwo, wina, coca, „szweps”.

Obok zaprasza pyszną zjeżdżalnią, czyli „rolba”, który to patent polecam i polskim specem od letniego wypoczynku. Po metalowych schodach wspinasz się na platformę usytuowaną gdzieś na wysokości dwudziestu metrów, by następnie zjechać na dół plastikową rynną. Unoszony przez strumień wody, po pokonaniu wielu zakrętów — lądujesz w basenie. Frajda wielka! Za 60 stotinek (gdzieś około 70 złotych po oficjalnym kursie licząc). 10 rund — tylko 3 lewa.

OSTATNIE WRAŻENIA — NIESYMPATYCZNE

Przed odlotem czarterowym samolotem z Warny do Warszawy uczestniczyłem w zdarzeniach, które splendoru gospodarzom nie przynioszą. Najpierw okazało się, że w „Corecomie” (bułgarski „Pewex”), by kupić paczkę cukierków, musisz znać choć kilka słów po niemiecku czy angielsku. Bez tego, mając dolary czy marki, traktowany jesteś jak ściana. Byłem świadkiem, jak sympatyczny Czech został niemal wyrzucony z takiego sklepu.

Dosłownie natomiast wyrzuconych zostało z autobusu, którym zmierzaliśmy do Warny, dwóch młodych Holendrów. Kupili bilety, o 20 stotinek za tanie! Toteż kontrolerka kasała zatrzymać autobus między przystankami i z ciepłym słowem „woni!” poleciła opuścić pojazd.

No i sceny na lotnisku w Warnie! Sceny jako żywo przypominające postępowanie z podejrzanymi o przemyt narkotyków, broni i przerwy w Postępowanie obcesowe, wręcz chamskie! Poszturchiwania, ordynarne obmacywanie (tak, tak, to nie było przeszkukiwanie kieszeni) pań jak i panów wprawilo wszystkich pasażerów w stan najwyższego zdumienia i konsternacji. I chyba miała dużo racji starsza kobieta, zdeprymowana brutalnym zachowaniem Bułgarki, która spokojnym tonem oświadczyła: — Gdzież wy nabraliście takich manier?! Przyjeżdżacie do Warszawy, na Okęcie, to zobaczcie jak przeprowadza się taką kontrolę w cywilizowanym kraju...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Pieriestrojka wyszła na ulicę

EUGENIUSZ IWANICKI

traktowany na równi z demonstracją przeciwko socjalizmowi. Rok 1987 stał się przełomowy: od wiosny można nie tylko malować na ulicy, ale i tańczyć, chodzić w koszulkach z angielskimi napisami, ba! młodzi chłopcy odważyli się nawet na malowanie włosów w krzyżące kolory.

— Pamiętam — mówi do mnie jeden z docentów — jak w końcu lat czterdziestych weszły u nas w modę bardzo szerokie spodnie. Konieczne musiały zakrywać buty. Takich spodni w handlu nie było. Wstawiliśmy więc u dołu nogawek klipy; im szerszy klin, tym modniejsze spodnie. Niestety, pojawiły się lotne brygady komсомольców, które łapały tych szerokonogawkowych elegantów i nożyczkami wycinali owe klipy.

— A ja pamiętam — mówi drugi docent — coś wręcz odwrotnego. W latach pięćdziesiątych zaczęto nosić spodnie — rurki, a do tego przykrótkie, by było widać skarpety w kolorowe paski. Nabyłem — z niebywałym trudem — takie spodnie i takie skarpety. Pech chciał, że gdy tylko wyszedłem na ulicę, trafiłem na ową brygadę komсомольców. Co to się działo! Ledwo utrzymałem się w szkole, bowiem stanął wniosek o wykluczenie mnie ze społeczności uczniowskiej. Nie pomogło nawet to, że mój ojciec był już wtedy znanym historykiem, autorem obowiązującego podręcznika historii Ukrainy. W końcu jakoś mi przebaczone. A teraz, proszę popatrzeć: jaka pstroka-eizna, jaka różnorodność i jakoś nikt nie myśli, że te kolorowe koszulki, te tańce czy obrazy mogą podważyć podwaliny naszego ustroju.

Zapada zmierzch, właściwie

sko-Pieczerskiej Ławry. Samo słowo „ławra” w dawnym kościele wschodnim oznaczało mieszkanie anachorety, obecnie oznacza klasztor prawosławny. Ze wszystkich klasztorów zaś najsłynniejszy jest właśnie Kijowsko-Pieczerski, o którym pierwsze wzmianki są z 1051 r. i znajdują się w zapiskach Nestora pt. „Powieści wriemiennych let”. Sam Nestor spoczywa w katakumbach klasztoru. Powstanie Ławry było bezpośrednio związane z przyjęciem przez Rusi chrześcijaństwa. Tu żyli i działali wspomniany już pierwszy historyk Nestor oraz Nikon i Jakub, malarze Alipij i Grigorij, lekarze Agapij i Damian. Pierwszym budynkiem murowanym był Sobór Uspienski (1073—1078). Ostateczny kształt Ławry, który można dziś zwiedzać i podziwiać został ustalony na przełomie XVII i XVIII w.

Jest to jeden z najpiękniejszych zabytków architektury sakralnej o powierzchni 28 ha, na której wznoszą się 102 budynki. Na terenie Ławry są cztery państwowe muzea (jako że cała Kijowsko-Pieczerska Ławra pozostaje pod ochroną państwa), kilka salonów wystawowych. Ale najciekawsze są jednak pieczary (stąd Ławra Pieczerska), gdzie w labiryncie katakumb leżą zasuszone mumie mnichów zmarłych tu wiele wieków temu. Są pieczary bliższe i dalsze. Te pierwsze są ciekawsze, ale zjawili się tu przed godziną osiemnastą i już nie sprzedano mi biletu na ich zwiedzenie. Od czego jednak przedsiębiorczość Polaka za granicą. Szybko dołączyłem do jakiejś wycieczki kolchoźnic, które z ciekawością mi się przyglądały, ale nie przegoniły.

Przewodnik, młody jeszcze mężczyzna, opowiada o Ławrze,

znaki krzyża, a potem zaczyna bić poklony w stronę górującego nad zabudowaniami wieży cerkwi Nikolskiej usianej złotymi gwiazdami na niebieskim tle kopuły.

— Czyście poszali! — zaczyna krzyczeć przewodnik. — Modlić się idziecie do cerkwi, a nie urządzacie widowiska na podwórzu...

W tym momencie kobiety dostrzegły zbliżającego się milicjanta i tak jakoś zwawo, stukając butami po bruku skryły się za rusztowaniami, których tu jest sporo.

— Ot, ciemnota — mówi do kolchoźnic przewodnik. — Tyle książek napisano na temat ateizmu, a one ciągle wierzą i wierzą...

I tak słuchając przewodnika wędruję nie kończącymi się schodami, zakamarkami, tunelami, krętymi nieczym cielsko legendarnych smoków podziwiając dziesiątki mumii, stopy szkieletów, szczątki żyjących tu przed wiekami mnichów. Oglądam wnętrza cerkwi, w których trwają prace konserwatorskie, czytam tablice pamiątkowe poświęcone sławnym mieszkańcom Ławry: lekarzowi Agapijowi, historykowi Nestorowi...

NIEZWYKŁA WYSTAWA

W jednej z sal wystawowych znajdujących się na terenie Ławry są prezentowane mikrominiatury Nikołaja Siadristego. O pracach tego artysty jest głośno w świecie. Mikrominiatury były prezentowane m.in. w Kanadzie, CSRS, Polsce, na Węgrzech, we Francji, Bułgarii, NRD, Japonii, Anglii, Finlandii, RFN, Indiach...

Niezwykłość eksponatów polega na tym, że aby je obejrzeć,



Foto: Grzegorz Galasiński

Bez zasadniczego rozliczenia się z przeszłością nie można mieć nadziei na uczciwą przyszłość.

Jak Fiodora Raskolnikowa zrehabilitowano i po raz drugi skazano na niepamięć

(2)

nej po XX Zjeździe KPZR przebudowy, jak też sygnałem do aktywizacji tych, których zjazd „śmiertelnie przestraszył” i w których interesach leżało — mówiąc słowami prof. A. Butenki w „MOSKOWSKOJ PRAWDZIE” — „powstrzymanie procesu oczyszczania społeczeństwa z biurokratyzmu i innych zjawisk negatywnych”.

Jaki był w rzeczywistości cel „demaskatorskich poglądów” wysuniętych przez S. Trapeźnikowa? Trzeba powiedzieć wprost, iż były one obliczone na niewiedzę słuchaczy. Nieprawdziwa jest przede wszystkim baza faktyczna oskarżeń. S. Trapeźnikow oświadczył, iż list Raskolnikowa został opublikowany w piśmie „NOWAJA ROSSIIJA”. Tymczasem list, o którym mowa, został opublikowany nie w „NOWOJ ROSII”, lecz w „POSLEDNICH NOWOSTIACH”. Kiereński i Miliukow nie współpracowali w żadnym organie, lecz mieli różne wydawnictwa periodyczne — Kiereński wydawał „NOWA ROSSIJĘ” a Miliukow „POSLEDNIJE NOWOSTI”. Wszystko to są, oczywiście, drobniutki, jednakże taki bojownik przeciwko „trubadurum ideologii burżuazyjnej” i „apologetom burżuazji” za jakiego chciał uchodzić S. Trapeźnikow, winien był owe „drobniutki” znać. Dalej widać, iż płacze on oświadczenie i list Fiodora Raskolnikowa, wydrukowane w różnych organach i nie zna okoliczności ich opublikowania.

Fiodor Raskolnikow nie posłał listu do jakiegokolwiek gazety, lecz zgodnie z istniejącym we Francji trybem przekazał go agencji „HAVAS”, która przesłała informację na ten temat do wszystkich gazet na ogólnych warunkach, tak więc jego publikacja w „NOWOJ ROSSII” i „POSLEDNICH NOWOSTIACH” nie zależała od wyboru Raskolnikowa. Nie wiedząc o tym wszystkim i wychodząc z faktu, iż list został opublikowany w tych gazetach, S. Trapeźnikow kłamliwie przypisał Fiodorowi Raskolnikowowi bezpośrednie kontakty z białogwardystami i najwyraźniej dla wzmocnienia strony emocjonalnej domyślił się nawet jego powiązań z „faszystowskimi szumowinami”. Zachwycony swoimi fantastycznymi oskarżeniami, uznał za możliwe nagrodzenie starego komunisty, współpracownika Lenina haniebnym mianem „odszepełca”.

Czy Fiodor Raskolnikow był „zawsze aktywnym trockistą” jak zapewniał S. Trapeźnikow? Sam Fiodor Raskolnikow w liście do Józefa Stalina z 17 sierpnia 1939 roku pisał:

„Jak wam wiadomo, nigdy nie byłem trockistą. Walczyłem ideowo ze wszystkimi prądami opozycji w prasie i na wielu zebraniach. Również obecnie nie zgadzam się ze stanowiskiem politycznym Trockiego, z jego programem i taktyką”.

Być może Fiodor Raskolnikow pisał nieprawdę i na jego oświadczeniu nie należy polegać? Ale oto dowód potwierdzony podpisem Stalina — informacja biograficzna zamieszczona w pierwszym tomie „Historii wojny domowej w ZSRR”, który ukazał się w latach 1935—1936 pod redakcją Stalina (jak też S. Kirowa i A. Zdanowa oraz innych):

„Raskolnikow F.F. (urodzony w 1892 r.) — bolszewik, członek partii od 1910 roku. Po rewolucji lutowej zastępca przewodniczącego Rady Kronsztadzkiej, przywódca organizacji bolszewickiej w Kronsztadzie. Po rewolucji październikowej dowódca Floty Kaspijskiej, która oczyściła Morze Kaspijskie z białogwardystów i Anglików. W chwili obecnej pełnomocny przedstawiciel ZSRR w Bułgarii”.

Nie pomijamy milczeniem tego, iż w trakcie dyskusji o związkach zawodowych, będąc dowódcą Floty Bałtyckiej, podzielał poglądy opozycji, jednakże szybko zerwał z nimi. Fakt ten nie może być w żadnym stopniu usprawiedliwieniem dla diametralnie przeciwnej oceny Fiodora Raskolnikowa, bowiem Włodzimierz Lenin uczył partię, by nie biczowała komunistów za naprawione błędy.

„Przed samą Rewolucją Październikową w Rosji i wkrótce po niej psal on — wielu wspaniałych komunistów w Rosji popełniło błąd, o którym wspomina się obecnie u nas niechętnie. Dlatego, iż niesłuszne jest, bez szczególnej potrzeby, wspomnianie takich błędów, które zostały całkowicie naprawione”.

Najwidoczniej tak samo nie było potrzeby wspomniania błędu F. Dzierżyńskiego i M. Frunzego, popełnionego w okresie walki Lenina o pokój brzeski.

S. Trapeźnikow mógł z dużym uzasadnieniem przypisać „trockizm” Stalinowi, który 6 listopada 1918 roku przyznał, iż Trocki wykonał „całą pracę w zakresie organizacji (październikowego) powstania” stwierdzając, że „szybkie przejście garnizonu na stronę rad i umiejętne zorganizowanie pracy komitetu wojkowo-rewolucyjnego partia zawiadziła przede wszystkim i głównie towarzyszowi Trockiemu”.

Inne oskarżenie pod adresem Fiodora Raskolnikowa — o „dezercję” i „ucieczkę ze Związku Radzieckiego” — ma u S. Trapeźnikowa takie samo uzasadnienie jak i poprzednie — zarzuty te zostały mu postawione w 1949 roku, przed anulowaniem przez nasze najwyższe organy partyjne i państwowe podczas weryfikacji „sprawy” Raskolnikowa i przed jego rehabilitacją.

Jeśli zaś idzie o wykorzystanie listu Raskolnikowa przez wrogów, to manipulują oni zawsze w swoich celach dokumentami, ujawniającymi nasze bolączki. W taki sam sposób upowszechniali materiały zjazdów partii oraz liczne materiały prasowe, demaskujące kult jednostki; przedrukowywały je i po swojemu komentowały nie mniej odrażające organy niż gazety Kiereńskiego i Miliukowa. Jednakże nikomu nie przychodzi dziś do głowy, by z faktu przedrukowania wyciągać wniosek, że autorzy tych materiałów „bratali się” z białogwardystami i faszystami.

Włodzimierz Lenin był zupełnie innego zdania o podobnych przypadkach:

„Nie jeden raz mówiliśmy, iż wszystkie siły władzy radzieckiej biorą się z zaufania i świadomego stosunku robotników... Wcale nie przyjmaliśmy oczu na to, że każde słowo, które zostanie tu wypowiedziane, będzie interpretowane w opaczny sposób, że naszym stwierdzeniem będą się przysłuchiwać agenci białogwardystów, ale mówimy — a niech sobie Wyciągnijemy znaczenie więcej korzyści z bezpośredniej i otwartej prawdy, dlatego że jesteśmy przekonani, iż jeśli jest to nawet trudna prawda, to kiedy powie się ją głośno, każdy światłomyślny przedstawiciel klasy robotniczej, każdy chłop pracujący wyciągnie z niej jedynie słuszny wniosek”.

Przez 20 lat, poczynając od 1965 roku, nad nazwiskiem Fiodora Raskolnikowa znów wisiło przekleństwo. Jego imię było wykreślone z tekstów naukowych i utworów literackich. Jaką miarą zmierzyć szkody wyrządzone w ten sposób wychowaniu obywateli radzieckich na tradycjach rewolucyjnych?

Im bardziej zbliżamy się do sławnego jubileuszu 70-lecia Wielkiego Października, z tym większym ożywieniem duchowym przyjmowane jest wezwanie Komitetu Centralnego naszej partii:

„We wdzięcznej pamięci obywateli radzieckich będą wiecznie żyć rewolucjonisci-leninowcy, współtowarzysze Iljica, którzy dali początek bohaterkim tradycjom bolszewizmu i poprzez wszystkie trudności i próby przenieśli niezachwianą wierność ideałom komunistycznym”.

Nie zostanie zapomniane przez bojowników komunizmu również imię bohatera rewolucji Fiodora Raskolnikowa.

W numerze 7 z 1987 r. „KOMUNIST” zamieścił materiał O. Kurpina „Szkice do portretu czytelnika”. Redakcja otrzymała bowiem w ciągu trzech pierwszych miesięcy 1987 roku tyle samo listów od czytelników, ile w ciągu całego roku 1984. Na podstawie analizy tej obfitej korespondencji Kurpin pisze o problemach, które najbardziej nurtują czytelników pisma, usiłuje nakreślić przekroju „portret” stanu świadomości czytelników. W artykule tym O. Kurpin stwierdza:

„Dziś, jak nigdy do tej pory, potrzebna nam jest prawda o naszej niedawnej przeszłości — myśl ta przewija się jak refren w dziesiątkach listów do redakcji. W kilku z nich, zupełnie jakby się umówili, autorzy cytują jeden i ten sam fragment z artykułu redakcyjnego pisma z nr 10 z 1986 rok:

„Rzecz w tym, iż kult jednostki oraz subiektywistyczne i woluntarystyczne decyzje przyniosły niemałe szkody ideowo-polityczne i materialne sprawie budownictwa naszego społeczeństwa, hamowały inicjatywę i samodzielność kadr, rodziły bezmyślne wykonaustwo urzędnicze”.

Cytują to, popierają, zgadzają się i uzupełniają, iż należy powiedzieć o moralnych następstwach kultu jednostki, takich jak poczucie wszechwładzy u przywódców różnej skali, strach przed jawnością, pochlebstwo i lizusostwo, oportuizm i kumoterstwo. Cytują i wyrażają niezadowolenie z powodu oszczędnego sformułowania, domagają się rozszyfrowania i dogłębnej analizy wymienionych zjawisk, uważają to za niezbędne dla przyspieszenia przebudowy. Cytują i spierają się — zgłaszają konkretne propozycje i zadają pytania. Wymienię kilka z nich.

Czy można we współczesnych warunkach uznać za dostateczną i wyczerpującą uchwałę KC KPZR „O przewyższeniu kultu jednostki i jego następstw? Czy nie wydaje się nam, iż nie ujawniła ona całej istoty tego zjawiska? Czy nie nazbyt pośpieszenie uznaliśmy je za przewyżnione?

Autorzy dwóch listów proponują, by wydać ponownie te stenogramy ze zjazdów i konferencji partyjnych, które stały się rzadkością bibliograficzną oraz by ogłosić w ogóle nie publikowane stenogramy; dać masowemu czytelnikowi możliwość zapoznania się ze wspomnieniami współpracowników Lenina, które były publikowane w latach 20-tych i 30-tych. I uzasadniają swoje propozycje:

„Bez zasadniczego rozliczenia się z przeszłością nie można mieć nadziei na uczciwą przyszłość”.

„Tym samym należy dać każdemu członkowi partii możliwość poznawania historii swojej partii na podstawie źródeł”.

Opracował:
JÓZEF RZESZUT (PAP)



M.N. Tuchaczewski jako żołnierz Armii Czerwonej, później marszałek ZSRR fałszywie oskarżony na podstawie podrzuconych „materiałów” przez Gestapo i skazany na śmierć.

Fiodor Raskolnikow, autor listu otwartego do Stalina

W rok po usunięciu Nikity S. Chruszczowa historyk S. Trapeźnikow wystąpił z nowymi fałszywymi oskarżeniami.

Nie wszystkim starczyło odwagi obywatelskiej, by przerwać milczenie, nie tylko wówczas, ale i wtedy, kiedy kult Stalina został potępiony przez partię. Beztraska charakterystyka Stalina była przez niektórych naukowców podnoszona do rangi nowego niezachwianego dogmatu — bez względu na wyrządzone przez kult jednostki szkody sprawie budownictwa socjalistycznego „w poszczególnych sferach życia społeczeństwa”, ani sam kult, ani jego następstwa w żadnej mierze nie wpływały z natury ustroju socjalistycznego, nie zmieniły, bo nie mogły zmienić, jego charakteru. A z tego wyciągano wniosek, iż „nie można ani z teoretycznego, ani praktycznego punktu widzenia uznać za prawidłowy fakt, iż w niektórych naszych publikacjach naukowych bądź artystycznych życie przedstawiane jest tylko pod kątem widzenia zjawisk kultu jednostki i tym samym przesłania się bohaterską walką obywateli radzieckich, którzy zbudowali socjalizm” — jak nalegał w październiku 1965 roku S. Trapeźnikow. Oportunistyczna myśl „naukowa” potulnie rozwijała te idee w styczniu 1966 roku — ku głębokiemu ubolewaniu. Na obrazowaniu przez partię i naród „tego głęboko obcego marksizmu” odbiły się „obce marksizmowi, subtelne wpływy, znajdujące wyraz również w niektórych pracach historyków. Upowszechnił się błędny, niemarksistowski termin „okres kultu jednostki”.

Analiza tego rzeczywiście głęboko obcego marksizmowi zjawiska, dokonana przez Fiodora Raskolnikowa, istotnie odbiegała w sposób fundamentalny od tego rodzaju „ideowych” konstatacji. Narzucanie ich oraz ograniczanie krytyki obcych marksizmowi zjawisk tłumaczy właśnie obecny zastój w naukach społecznych. Biurokratyczna „elita” w nauce i propagandzie bazowała, oczywiście, na oficjalnych dokumentach partyjnych. Jednakże w sposób zupełnie uzasadniony rodzi się pytanie — czy we współczesnych warunkach można uznać za dostateczną i wystarczającą uchwałę KC PZPR „O przewyższeniu kultu jednostki i jego następstw?”. Czy nie wydaje się nam, że nie ujawniła ona całej istoty tego zjawiska? I czy nie nazbyt pośpieszenie uznaliśmy je za przewyżnione? (KOMUNIST 1987, nr 7).

Wszyscy, którzy znali Fiodora Raskolnikowa ze wspólnej działalności rewolucyjnej, partyjnej i państwowej, z dokumentów historycznych i z literatury, z zadowoleniem przyjęli decyzję najwyższych organów państwowych i partyjnych o jego rehabilitacji jako obywatela radzieckiego i komunisty. W zbiorze „Na posterunkach bojowych”, „WOJENIZDAT” wydał jego wspomnienia „Kronsztadt i Piter w 1917 roku” oraz „Opowiadania Mieczmana Ilina”. Drużyna pionierska we wsi Goliary otrzymała imię Fiodora Raskolnikowa. Zaproszona do ZSRR wdowa po nim M. Raskolnikowa i córka zostały serdecznie przyjęte w Zarządzie Związku Pisarzy RSRR, w Radzie Wojskowej Marynarki Wojennej, w redakcji pisma „WOJENNO-ISTORICZESKIJ ŻURNAL” i „OGONIOK” oraz przez marynarzy Floty Bałtyckiej. Postanowiono przewieźć proch bohatera do ojczyzny i pochować go w Kronsztadzie. Córka Raskolnikowa po ukończeniu Sorbony została przyjęta na staż na Uniwersytecie Moskiewskim.

Jednakże atmosfera powszechnego hołdu dla świetlanej postaci przywróconego w szeregi bohaterów Października F. Raskolnikowa została nagle zakłócona przez wystąpienie S. Trapeźnikowa na naradzie kierowników katedr nauk społecznych moskiewskich uczelni wyższych 5 września 1965 roku — w niecały rok po usunięciu Nikity Chruszczowa. Mówiąc o „subiektywistycznym osądzie” w ocenach poszczególnych postaci, które w procesie przeobrażeń „stały niekiedy na przeciwnych pozycjach”, powiedział o Fiodorze Raskolnikowie:

„W płaszczyźnie ideowej był zawsze aktywnym trockistą. Będąc pełnomocnym przedstawicielem Kraju Rad odmówił powrotu do ojczyzny, popełnił ciężkie przestępstwo — zdradę. List, w którym motywował swoją odmowę powrotu do RSRR, skierował do jednego z najbrudniejszych organów białogwardyjskich — do paryskiego pisma „NOWAJA ROSSIIJA”, wydawanego przed wojną pod redakcją dobrze nam znanego Kiereńskiego i współpracującego z nim Miliukowa, gdzie list ten został szeroko wykorzystany do celów antyradzieckich w przeddzień wojny. Zbratawszy się z białogwardystami i faszystowskimi szumowinami odszczepieniec ten zaczął opluwać wszystko, wszystko co zostało zdobyte i utrwalone potem i krwią obywateli radzieckich, oczerniać wielki sztandar leninizmu i wychylać trockizm. Tylko ludzie nieodpowiedzialni mogli ocenić dezercję Raskolnikowa, jego ucieczkę ze Związku Radzieckiego, jako czyn bohaterski”.

Powtórna rozprawa z Fiodorem Raskolnikowem, tym razem podjęta pośmiertnie, winna stać się lekcją poglądową i nauką dla tych wszystkich, którzy tyli jeszcze ideałami dokonywa-



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

6 sierpnia — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16

13 sierpnia — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

Dziur 27 lipca 1987 r.

Zadzwoń do nas zropana pani Krzysztofak reprezentująca komitet blokowy przy ulicy Współzawodniczej. Kilka bloków mieszkalnych, z lat pięćdziesiątych ustawicznie zalewa woda przez dziurawe dachy. Monity, pognaglenia, błagania kierowane pod adresem ROM nr 11 przy ul. Marynarskiej nie odnoszą żadnego rezultatu. Zalewane mieszkania, grzyby, pleśń i reumatyzm doprowadzają mieszkańców do ostateczności. A pan kierownik ROM ma to w nosie. W lutym 1987 roku „fachowcy” zakładali nowe rynny, ale efekty tej roboty należy określić jednym tylko słowem z łódzkiego: woda! Bo jak inaczej nazwać ludzi, którzy pobierają pensję z państwowego przedsiębiorstwa, niszczą materiały budowlane i tak skandalicznie partaczą robotę, że woda z rynien, miast spływać do studzienek, wybija przez ściany do wnętrza mieszkań? Umowa o pracę przewiduje nie tylko pobieranie pensji, ale także należyte świadczenie w zamian pracy. Apelujemy bynajmniej nie do kierownika ROM, ani nawet nie do jego przełożonych, ale do organów ścigania i instytucji kontrolnych. Może wreszcie ktoś ukróci ten proceder.

Starsza rencistka ze starego, jak najbardziej, portfela ubierała cierpliwie na pralkę automatyczną. Ale — ni jak nie może kupić nigdzie... zaworu do zimnej wody, bez którego pralka jest tylko bezużytecznym meblem. Czytelniczka nasza nie żyje sobie kupować kradzionych przedmiotów na bazarach, znajomości nie ma i blaga o pomoc. Jej zdrowie nie pozwala na kontynuowanie udręki prania ręcznego. Czytelniczka podała swój numer telefonu, licząc, że być może tą drogą uzyska pomoc w zakupie bezcennego zaworu. Liczymy na życzliwość, podajemy telefon: pani Łochowska, nr: 57-40-91.

Sprawy mieszkaniowe w naszym kraju od dawna znajdują się pod patronatem świętego Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych. Nasz Czytelnik opowiedział nam historię, nawet w naszych czasach bulwersującą. Mieszka z żoną i dzieckiem w mieszkaniu (pokój, kuchnia, woda, gaz, ubikacja na podwórku), którego głównym najemcą jest dama, hm, wiadomego autoramentu, alkoholiczka, nadzwyczaj częsta pensjonariuszka zakładów karnych. Na 49 wiosem swojego żywota, 16 spędziła w pudle. A gdy wraca na wolność życie naszego czytelnika i jego rodziny zmienia się w koszmar, bowiem życie towarzyskie głównej lokatorki odbywa się w tym samym pokoju, gdzie mieszka nasz czytelnik, jedynie za iluzoryczną przegrodą z meblówianki, oraz we wspólnie użytkowanej kuchni, do której dostać się można przechodząc przez centrum rozrywkowego życia sąsiadki. Czytelnik nasz od 12 lat pracuje na PKP, na Dworcu Kaliskim, jego żona, na dwie zmiany w „SKOGARZE”. Zarobki obojga nie wystarczą w żaden sposób na pełny wykład spółdzielni mieszkaniowej. Zresztą przyjęcia są wstrzymane. Co pozostaje? Molesty u kolejowego pracodawcy, który zbywa człowieka. A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że notorycznie interweniująca milicja (bankiety, narkomania, alkohol, burdy) też nie są żadnym argumentem dla władz lokalnych. Polisia. Najwyraźniej chroniony jest lump i element kryminalny. Porządną człowieka jest bezsilny. I czeka bez końca na byle jakiego choćby kąt, ale bez takiego sąsiedztwa. I dziwi się tej łagodności wobec całkiem nie tych obywateli, jakby należało.

REDAKTOR DZURNY I

Dziur 30 lipca 1987 r.

Sławomir Górkowski, etatowiec, chciał zatrudnić się dodatkowo na pół etatu w telefonicznej centrali miejskiej, gdzie podobno występują niedobory kadrowe. Kiedy zgłosił się w Centrali, oświadczone mu, że poleciły przeznaczone są wyłącznie dla kobiet ciężarnych i spławiono go, jako że nie był kobietą i nie był w ciąży. Praca w centrali międzymiastowej jest niezwykle ciężka i nerwowa, można porównać. Petent udał się więc do domu handlowego „Magda”, aby dowiedzieć się, że limit poleciatowców został już wyczerpany. To samo powiedziano mu w „Centralu”. Ambitny obywatel spróbował w WPHW, któremu podlegają cierpiąca na brak personelu sklepy wzorcowe. Usłyszał, że owszem, przydałoby się kilka ekspedientek, ale żaden kierownik w tej branży mężczyzny do pracy nie przyjmie. Nie ma po prostu takiego zwyczaju.

Sławomir Górkowski poruszył również dwie inne sprawy. 1. Dział Reklamacji na Poczcie Głównej czynny jest tylko do godziny 15.00. Aby upomnieć się o swoje, trzeba zwać się z pracy, co w wielu wypadkach (rygorystyczny szef) jest niemożliwe.

2. Dziesięciotysięczne osiedle mieszkaniowe Radogoszcz Wschód dysponuje tylko jedną linią autobusową 79, autobusy są w dodatku małe, ciasne, pękają w szwach. Zimą na przystankach ustawiają się kilometrowe kolejki — lud płacze i złości.

Z kolei wedle Mirosława Barczyńskiego Radogoszcz-Zachód doczekał się przed sześcioma laty pięknego zbiornika wodnego, który wybudowano u zbiegu ulicy Zgierskiej i alei Włókniarzy i który był nie mniejszy od stawu w Nowej Gdyni. Cóż z tego, kiedy nie napelniono go wodą. Zniszczył. Dwa lata temu wkradły ekipy remontowe, aby wielkim nakładem kosztów wyrychtować służę, naprawić brzozy i wysypać dno cudownym, złośliwym piaskiem. Ale wody znowu nie wpuszczono i dzisiaj zbiornik jest w stanie całkowitego rozpadu. Szkoda! Obok jest uroczy las i rozległa łąka. Można by tu zrobić raj, tymczasem jednak prokurator powinien zrobić komuś piekło.

Dyrektor i oddział PKO, Zdzisław Szadkowski, wdzięczny jest „Ogłosom”, że pisząc o „Melomanach” wspomnieli przy okazji o znakomitym łódzkim zespole jazzu tradycyjnego „Tiger-Rag”. Pan dyrektor, związany niegdyś z tym zespołem, byłby wdzięczny redakcji za dłuższą publikację na temat losów i historii tigeragowców.

Anonimowa rozmówczyni twierdzi, że „Ogłosom” powinny iść za ciosem i zająć się na dobre instytucjami tak zwanej opieki społecznej, które dopuszczają się na swoich podopiecznych haniebnych wykroczeń i nadużyć. Ta sama rozmówczyni żąda, aby któregoś dnia zasiadł przed telefonem w charakterze redaktora dziurnego szef „Ogłosom” Lucjusz Włodkowski.

18 lipca 1987 r. Piotr Ważydróg zamieścił w „Głosie Robotniczym” ogłoszenie, że poszukuje kawalerki. Znalazł. Podpisał z właścicielem umowę ważną od 1 sierpnia i opiekującą na 10 tysięcy złotych miesięcznie. Wziął klucze i wyszedł uszczęśliwiony, ale kiedy po paru dniach wrócił, aby pokazać kawalerkę żonie, zastał w drzwiach zamknięte zamki.

Właściciel kawalerki frymcarzy już tym mieszkaniem (Teofilów, ulica Lniana) od paru lat i miał już sześciu czy siedmiu lokatorów. Jakim prawem? — zapytuje Piotr Ważydróg. — Przecież sam jest mieszkańcem Sieradza i posiada tam inną kawalerkę!

Anna Kosińska testuje redaktora, czy wie, ile kosztują kolonie. Otió w niektórych wypadkach kosztują 36 tys. od lebaka, małej dziecięcej główki. Wychowawcom, którzy sprawują nad dziećmiakami stałą, całodobową opiekę, płaci się za ledwie 10 tysięcy złotych. Zarabiają organizatorzy — przedsiębiorstwa, od sprzedając miejsca dziećmiom bogaczy i latając w ten sposób luki w budżecie.

Pani (nazwisko i adres znane redakcji) wściekła się, że w dalszym ciągu ociepla się domy płytami azbestowymi, a prasa i ra-

dio wyraźnie stwierdzają, że mają one właściwości rakotwórcze. Kto wreszcie, do ciężkiej cholery, rozwiąże ten problem?!

Zapowiada list do redakcji matka, która samotnie wychowuje dziecko i którą skrzywdził mąż — oficer więziennictwa.

Maria Studzińska skarży się na łódzką Informację o Lekach. Telefon wziął zajęty, pracownicy niegrzeczni, żeby dostać lek, trzeba nierzaz przebiec o lasce wszystkie apteki, pod którymi ustawiają się często takie kolejki, jak po mięso w stanie wojennym.

REDAKTOR DZURNY II

Życzę nam naszej Czytelniczki (anonimowej), abym też zastał przy dziurnym telefonie spełnić we wrześniu już po powrocie z urlopu. Dziękuję za propozycję. Łączę pozdrowienia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przypominamy!

Konkurs na całe lato trwa do 30 września 1987 roku



NA KONKURS NA CAŁE LATO można przysłać nie więcej niż 10 zdjęć. Powinny być zrobione w wakacjach poza Łodzią. Powinny to być zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm. Zdjęcia wraz z kuponem z „Ogłosom” przysyłamy do 30 września 1987 roku pod adresem:

„ODGŁOSY”
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
90-113 ŁÓDŹ

A oto kupon:

KUPON KONKURSU NA CAŁE LATO
Imię i nazwisko
Dokładny adres
Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw zdjęć.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Jak uratowałem pewnego pułkownika

Latem 1944 roku otrzymałem z firmy „Koral” dokumenty upoważniające do przewiezienia samochodem ciężarowym twardą skórę z Łodzi do Poznania. Kierowcą był Polak-łódzianin. Byłem jako konwojent odpowiedzialny głową za dostarczenie wszystkiego do celu. W drodze powrotnej, aby nie jechać pusto, mieliśmy zabrać i przewieźć do Pabianic dla potrzeb NSDAP drewniane, piętrowe łóżka.

W różnych firmach Poznań miałem sporo zaprzyjaźnionych ze mną polskich robotników, których nazwiska niestety już nie pamiętam. Nie jedną butelkę wspólnie wypiliśmy, u niejednego z nich mogłem przenocować.

Kiedy do miejsca przeznaczenia odstawiłem skórę, udałem się jeszcze tego samego dnia do innej firmy po wspomniane łóżka. Tam już na nas czekano i przystąpiono do ładowania. Robili to znani mi Polacy. Prosiłem ich, żeby tak układali łóżka, aby w środku wozu pozostawił mały schowek na ewentualne ukrycie tam zakupionej w drodze powrotnej żywności.

Przed wyruszeniem do Pabianic dwaj znani mi poznańscy, z którymi byłem dobrze żyjący niespodziewanie poprosili mnie na chwilę rozmowy i zaproponowali przewiezienie do Warszawy polskiego pułkownika, działającego w konspiracji. Pułkownik ten był komendantem polskiej organizacji podziemnej na miasto Poznań. Szukali go Niemcy, rozesłali listy gończe wyznaczyli dziesięć tysięcy marek nagrody za jego ujęcie.

Było to ryzyko ogromne. W razie wypadku mogło mnie czekać tylko rozstrzelanie. Miałem żonę i dzieci. Wojna wydawała się też już blisko końca. Niemcy na wschodnim froncie cofali się. Alianci wylądowali już w Normandii i też parli naprzód. Trudno mi było podjąć decyzję.

Oni nalegali, prosiли motywując, że to jedyna okazja wywiezienia pułkownika z zagrożonego terenu, że on potrzebny jest Polsce walczącej. Niech się dzieje co chce — pomyślałem w końcu. Wyraziłem zgodę. Kierowca wozu, młody

chłopak, też nie stawiał sprzeciwu. Zrobiło się ciemno, kiedy przed nami zamigotało światło w oknie domu. Kazałem zatrzymać wóz, żeby zasłaniać języka. Wyszedłem z wozu z latarką w ręku i zapukałem do drzwi domostwa.

Usłyszałem wówczas niemieckie zaproszenie do wejścia. Wszedłem do środka i ogarnęło mnie przerażenie. Okazało się, że był to posterunek policji (szupo). Opanowałem się, jak tylko mogłem szybko, i po niemiecku wyjaśniłem, że wyjeżdżając z Poznania pomyliłem drogę i że względu na przerażenie nie mogę zawrócić. Poprosiłem o pomoc w prawidłowym wskazaniu kierunku na Kalisz. Jeden z ośmiu policjantów przebywający na posterunku wyjaśnił mi jak mamy jechać. Wywnioskowałem, że wzięli mnie za Niemca, poradzili żebym był ostrożny, ponieważ polscy bandyci ostrzegają niemieckie transporty, szczególnie w nocy.

Pięknie im podziękowałem i pobiegłem do samochodu. Kierowcy wytłumaczyłem, jak ma jechać, ale mimo to jeszcze jakiś czas kluczyliśmy po różnych duktach. Dopiero kiedy zaczął wstawać piękny letni ranek, trafiliśmy na trasę prowadzącą do Kalisza. Przed samym Kaliszem droga była zamknięta, a niemiecki znak z napisem: „objazd” wskazywał, że droga prowadzi przez wieś Wróblewo.

Pojechaliśmy tym kierunkiem, mineliśmy most na Warcie i jadąc dalej poafadowanym terenem zauważyliśmy jadących nam naprzeciw dwóch policjantów na rowerach. Wyglądali groźnie, na piersiach mieli zawieszony automaty, a przy pasach granaty. Zeskoczyli z rowerów i lizakiem dali znak do zatrzymania. Wyszedłem z wozu z dokumentami. Podałem je starszemu stopniem. On spytał dokąd jadę i co przewożę. Odpowiedziałem, że objazdem jadę do Łodzi z łózkami, przeznaczonymi dla NSDAP w Pabianicach. Po sprawdzeniu dokumentów policjant zapytał, czy przewożę szmugiel. W tym czasie drugi policjant stał z boku z wymierzonym we mnie automatem. Odpowiedziałem, że szmuglu nie mam, że od wczoraj nie jadłem, bo nie mogłem nie kupić. Polacy nie chcą Niemcom żywności sprzedawać. On jednak postanowił przeszkukać samochód.

Obszedł go dookoła, lecz wszędzie widział wystające fragmenty drewnianych łózek. Stał na kole samochodu i coś tam przy planecie grzebił. Wszedł wreszcie reke do środka i jak tylko mógł sięgnąć obmacywał sprzęt i przez szparę zaglądał do wewnątrz. Wreszcie pozwolił odjechać.

Wieś Wróblewo znajduje się w lesie. Miałem tam znajomego rzemieślnika naprawiającego maszyny rolnicze. Zatrzymaliśmy się u niego. Podnieśliśmy planetkę i krzyknaliśmy do środka: — Wysiadka na posiłek!

WŁADYSŁAW POLASIŃSKI



OKRĘGOWE PRZEDSIĘBIORSTWO SUROWCÓW WTORNYCH „WTÓRPOL” w ŁÓDZI

zawrze umowę agencyjną z osobami posiadającymi

- ♦ place,
 - ♦ pomieszczenia w postaci barakowozów, szop, baraków,
 - ♦ samochody dostawcze oraz
 - ♦ lokale sklepowe
- nadające się do prowadzenia działalności skupu surowców wtórnych na terenie miasta Łodzi i województwa:**

łódzkiego, piotrkowskiego, plockiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

Informacji udziela Dział Skupu OPSW „Wtórpol” w Łodzi ul. Nowotki 75 tel. 32-37-55. 1894-k

W czwartek, 9 lipca 1987 roku na ulicy Nowotki za Telefoniczną w Łodzi zatrzymany został przez społecznego inspektora ruchu brązowy volkswagen, "sirocco" z wrocławską rejestracją. Kierowca volkswagena, a zarazem jego święto upieczony właściciel, łodzianin Jarosław W. posłusznie zahamował na dany sygnał, od razu domyślając się powodu zatrzymania.

I nie pomylił się, gdyż inspektor nie bez satysfakcji wytknął mu już na samym wstępie, iż nie zna znaków drogowych i zażądał okazania dokumentów.

Jarosław W. spełnił i to polecenie, przy czym wyjaśnił spokojnie, że owszem, znak zakazu wjazdu widział, ale nie zastosował się do niego, ponieważ widniejąca pod znakiem tablica informuje, iż nie dotyczy on wjazdów docelowych, a celem jego podróży jest znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej zakład mechaniczny. Tym samym nie naruszył więc żadnych przepisów. Społecznemu inspektorowi, Krzysztofowi S. wyjaśnienie to jednak nie wystarczyło, choć nie mógł nie przyznać racji młodemu kierowcy volkswagena. Oddalił się z dokumentami do swojego samochodu i przez kilkanaście minut coś tam robił. Kiedy znów stanął przed Jarosławem W. i jego kolegą, trzymał w ręce wypisany już zastępny dowód rejestracyjny, w którym wypełnione były wszystkie rubryki oprócz jednej — powodu zatrzymania. Dopiero wtedy przystąpił do sprawdzania stanu technicznego samochodu i już po chwili wykrył luzy w układzie kierowniczym i przedniego zawieszenia — jeden jedyny raz poruszywszy przez moment kierownicą. W ten to prosty sposób powód zatrzymania został sprawnie znaleziony i wpisany do zjeżdżającej pustą rubryki, a stały dowód rejestracyjny volkswagena zniknął w kieszeni społecznego inspektora, który nie miał już teraz żadnych wątpliwości, iż nie na darmo traci czas.

Między nami, kierowcami

Prosto z miejsca zatrzymania Jarosław W. pojechał do stacji obsługi samochodów Polskiego Związku Motorowego przy ulicy Zgierskiej 108, gdzie poprosił o wydanie mu pisemnego zaświadczenia o stanie technicznym układu kierowniczego i przedniego zawieszenia. Nie zdziwił się też wcale, kiedy po dokładnym oględzinach volkswagena przez specjalistów-mechaników okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, gdyż był tego pewien.

Otrzymał wreszcie zaświadczenie, o jakie prosił. Co najważniejsze, była na nim odnotowana data wraz z dokładnym czasem dokonania ekspertyzy — 9.07.87 godz. 19.45, a zatem trzy kwadransy po zatrzymaniu, co wykluczało możliwość dokonania naprawy samochodu już po stwierdzeniu jego niesprawności przez skrupulatnego inspektora, Krzysztofa S.

W piątek, 10 lipca 1987 Jarosław W. udał się do Wydziału Ruchu Drogowego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych przy ulicy Władysława Bytomskiej 60, by tam wyjaśnić całe to — delikatnie mówiąc — nieporozumienie i odebrać dowód rejestracyjny wozu, bez którego żaden stannujący się kierowca nie wyjedzie na ulicę. Towarzyszył mu, jak poprzedniego dnia wieczorem, kolega Krzysztof W. gotowy w każdej chwili potwierdzić jego prawdziwość. Na szczęście nie było to niezbędne, gdyż pułkownik milicji, z którym rozmawiał, uznał, że wystarczy mu zaświadczenie ze stacji PZMot-u. „Pomyłka” była ewidentna.

Okazało się wszakże, że sprawy od ręki załatwić się mimo to nie da, ponieważ społeczny inspektor Krzysztof S. nie przekazał jeszcze dowodu rejestracyjnego volkswagena pracownikom wydziału. Pułkownik poprosił więc o cierpliwość, Jarosław W. uzbolił się w nią z pełnym zrozumieniem, ale mijaly dni, a zabranego dokumentu na Władysława Bytomskiej wciąż nie było. Społecznego inspektora — również.

Wobec powyższego pułkownik poradził trochę zniecierpliwionemu już Jarosławowi W., by bezpośrednio skontaktował się z Krzysztofem S. i podał mu jego domowy adres.

Jarosław W. pojechał więc na ulicę Osiedlową i — aby nie wdawać się w zbędną dyskusję — powiadomił inspektora, iż ma się stawić nazajutrz u pułkownika.

Niestety, los bywa złośliwy i lubi płać różne figle, o czym Jarosław W. nieraz już się przekonał, a czego znowu miał doświadczyć. Oto bowiem następnego dnia dowiedział się, że społeczny inspektor Krzysztof S. nie tylko zlekceważył polecenie przełożonego i nie stawiał się w Wydziale, ale jak gdyby nigdy nie wyjechał na urlop, informując pułkownika K. przez osoby trzecie, że dowód rejestracyjny zatrzymanego onegdaj brązowego volkswagena „sirocco” z wrocławską rejestracją zdał w Dzielnicy Urzędzie Spraw Wewnętrznych na Widzewie.

Jarosława W. czekała nowa podróż — i tu zdradźmy od razu — wcale nie ostatnia, bo kiedy zjawił się wkrótce na ulicy Wysockiej, oświadczone mu, że istotnie, złożono u nich taki dowód rejestracyjny, ale został on właśnie odesłany w miejsce wystawienia, czyli do Wrocławia. Tam też i tylko tam może go, jeśli chce, odebrać. Zegnam.

Sluchając powyższej historii — powie ktoś: wyjątkowej, w sumie nieistotnej, mało ważnej — nie miałem złudzeń, że będzie ona opowiadana jeszcze wiele razy — jak to bywa — między nami, kierowcami. Ze znajomi Jarosława W. opowiadają ją będą swoim znajomym, że wraz z upływem czasu i poszerzającym się gronem tych co ją usłyszeli, zatra się gdzieś szczegóły, daty, nazwiska i w końcu pozostanie już tylko sugestywny obraz bezimiennego niesympatycznego społecznego inspektora ruchu drogowego, czyli wszystkich inspektorów, którzy na każdym kroku gnębiają Boga ducha winnych kierowców i jak tylko mogą uprzykrzają im życie. Tak zwana fama, „wieść gminna”, czy jak kto jeszcze woli, nie lubi bowiem jednostkowych, wyjątkowych i mało ważnych przypadków. Kocha za to uogólnienia i uogólnia na każdym kroku — często nawet wbrew rozsądkowi. I nie się na to nie poradzi. Tak już jest.

Jedynie, co można zrobić, to nie nadużywać swoich uprawnień, a jeśli już popełniło się błąd — umieć się do niego przyznać. Bywa przecież, że i kierowca może mieć rację.

JÓZEF RETMAN

Przerwa śniadaniowa

Wilk jak stodola

Kota nie ma, myszy harcują — pani Lala spojrziała z niesmakiem na pana Dareczka, beczelnie rozwijającego krzyżówkę — jak tylko pan Zenek wyjechał na urlop, nikt nie pracuje w tym pokoju! Tak przecież nie można...

— Można, można, szanowna pani. Niech pani łaskawie zwróci uwagę, że mimo naszej, dajmy na to, duchowej absencji instytucja nasza funkcjonuje bez zakłóceń, normalnie. Zwracam uwagę koleżanki, że jest to poważny sygnał świadczący o naszej, dajmy na to, społecznej użyteczności. Pomówmy o czymś przyjemniejszym: gdzie się pan, panie Heniu, wybierze tego lata?

— Jak zwykle, w Polskę, z plecakiem. Lasy, pola, zachody słońca nad ściemniskiem. A pan?

— Wybierałem się na Węgry. Ale skalkulowałem, że muszę pożywić się w cinkciarza dołce na kaucej granicznej, a to i zapłacić za wycieczkę. A to kosztuje tyle, że wychodzi mi 12 tysięcy dziennie. Za dwanaście kafil dziennie to ja nie muszę wyjeżdżać z Łodzi, ja tu na miejscu, dajmy na to, mogę mieć za tę forszę Las Vegas, Las Palmas i Tuszyn-Las na do-datek! Wybieram Tuszyn-Las właśnie!

— To nasi handlowi turyści doprowadzili do tego, że Węgry i Jugosłowianie wprowadzają jakieś specjalne restrykcje...

— Oczywiście, ja, dajmy na to, podzielam całkowicie pańskie zdanie. Nasz turysta dostaje takie kieszonkowe, że mu na wodę sodową nie starcza. To po pierwsze. Po drugie, to chciałem najprzejmiej zameldować, że nasi turyści handlują w Jugosławii z miejscową ludnością a nie między sobą. Podobnie na Węgrzech i w Bułgarii. Po trzecie, to Węgry i Jugosłowianie akurat u nas robia dokładnie to samo. Obserwowałem węgierską wycieczkę w Zakopanem — przyjemnie było popatrzeć, jak chłopcy o-golocili sklep z tekstyliami do czyszczenia półek. A przedtem stali na rynku i spuszczały swój jakiś tam chlam. Wiadomo, dwa bratanki i do handlu i do szklanki.

— A pan? — pan Heniu zwrócił się do pani Lali. — Ja? Ja w tym roku zostaję w domu. Mąż jedzie na specjalne wczasy dla brzydystów, synek na kolonie. Jestem słomianą wdową panie Dareczku! — pani Lala znacząco spojrzała na najprzystojniejszego koleżę z działu.

— No to masz pani masę czasu, możesz pani zrobić konfitury, przetwory, kompoty itp. Rodzina po powrocie się ucieszy, dajmy na to... A szanowny małżonek dobrze gra w brydża? Kiedy impasuje, dajmy na to damę, to bierze pod siebie czy pod stół?

Pani Lala spojrziała nienawistnie na pana Dareczka i wyszła, trzaskając drzwiami. Pana Kalinka zacerwieńnięła się, wzruszyła ramionami i nie wiedząc jak się zachować opuściła pokój.

— Dałbyś pan spokój, panie Dareczku, wiesz pan, że pani Lala jest zadowolona a pan takie dowcipy: „pod siebie” albo jeszcze gorzej: „pod stół”. Nieładnie... A propos — co to właściwie znaczy „impasować”?

— Jakby to panu powiedzieć... „Impasować damę”, dajmy na to...

— Dziękuję, już się domyśliłem. A wiesz pan, panie Dareczku, ja to mam takie marzenie wakacyjne: popłynąć statkiem wzdłuż Wisły — od Krakowa czy Sandomierza do samego Gdańska. Kiedyś, dawno temu, były takie wczasy. Piękna wycieczka — codziennie w innym mieście, i cały czas na naszej pięknej Wiśle, królowej, prawdy, naszych rzek. Marynarze śpiwają, za sterem facet w białej czapce i koszulce w granatowe paski, z brodą, z fajką w zębach... Bardzo romantyczne.

— Owszem, ostatnio taki rzeczony statek utknął na mieliźnie.

Nie wiem, czy ten wilk wiślany miał brodę, czy pałk fajkę, czy miał koszulkę, dajmy na to, w paski. Wiadomo tylko że był narażony jak stodoła i nie mógł steru wypuścić z rąk. Jakby wypuścił, to by się przewrócił a może nawet utopił...

KAROL H.

2

Lewym okiem

Złota 8

Kiedy uda się ująć jakieś zjawisko w równanie matematyczne to już wiadomo, że do tego równania nie ani dodać, ani ująć nie można. Kiedy pisze się felieton to wiadomo, że na pewno zawsze można do niego coś dodać, coś zmienić, coś poprawić. W związku z moim felietonem „Grydzewski w Londynie” zabrał głos na łamach „Odgłosów” Witold Borowy listem zatytułowanym „Prawda, sprawiedliwość i mitologia”.

Cały ten list utrzymany jest w tonacji wskazującej na chęć wykazania, że w moim felietonie rola się od nieprawdy, niesprawiedliwości i mitologii. Takim pisaniem — mówi Borowy — można spowodować niemałe zamieszanie, wywołać niepowetowane szkody. W innym miejscu twierdzi, że porównywanie czasów, kiedy zaczęły wychodzić „Wiadomości Literackie” z czasami dzisiejszymi jest po prostu nieuczciwe. Jeszcze w innym miejscu — że mitologizując przeszłość a fałszując dzisiejszą rzeczywistość. Myślę, że konkretne zarzuty, jakie mi w tekście swego listu postawił Borowy niewarte były aż tak mocnych słów, jak „niepowetowane szkody”, „nieuczciwość”, „fałszowanie rzeczywistości”.

Napisałem, że „Wiadomości Literackie” były „znakomitym piśmem, najlepszym periodykiem w dziejach naszego czasopiśmiennictwa kulturalnego”. „To prawda” — przyświadcza Witold Borowy, „ale też były to inne czasy i porównywanie tamtych czasów z dzisiejszymi jest prostą nieuczciwością”. No cóż, prosty wniosek z tych słów byłby taki, że ponieważ czasy są inne, nie może się ukazywać dzisiaj znakomity periodyk kulturalny. To oczywiście, że czasy były zupełnie inne, ale nie rozumiem, dlaczego porównywanie tych dwóch inności jest „prostą nieuczciwością”. To prawda, że nakład wynosił parę tysięcy egzemplarzy, dziś wynosi kilkadziesiąt tysięcy; że dawniej znaczną część pisma stanowiły ogłoszenia, które finansowały pismo, a dziś tych ogłoszeń prawie nie ma; że pismo kosztowało wtedy dużo w stosunku do ogólnego poziomu cen, dzisiaj musi kosztować mniej. Czy z tego wszystkiego wynika, że dzisiejsze pismo musi być gorsze od tamtych sprzed półwiecza?

Napisałem, że „Wiadomości Literackie” redagował jeden człowiek, natomiast w dzisiejszych redakcjach zatrudnionych jest wielu redaktorów. To także znak innych czasów, ale to prawda, której Borowy nie kwestionuje. Gdzie więc ostatecznie i mitologizowanie przeszłości i fałszowanie teraźniejszości.

Cała rzecz zatem sprowadza się do mojego twierdzenia, że dawne redakcje zamawiały u autorów, a dzisiejsze tego nie czynią. To nieprawda — mówi Borowy — dzisiejsze redakcje także zamawiały artykuły u pisarzy. No dobrze, dla zmniejszenia zamieszania i szkód, które poczyniłem, prostuję swoje poprzednie twierdzenie jak następuje: Dawne redakcje opierały się prawie wyłącznie na materiałach zamówionych, pozaredakcyjnych. Redakcje licznych, dzisiejszych czasopism bazują w większości na materiałach własnych. Już dobrze?

A jeśli chodzi o pobliżskawanie erudycji, to chciałbym stwierdzić, że — daję słowo — wiem trochę więcej o „Wiadomościach Literackich” i o Mieczysławie Grydzewskim niż napisał w swoim felietonie. I nawet wiem więcej o tym, że inne były czasy, tamte od na-

szych. Ze Grydzewski odziedziczył kamienicę przy ulicy Złotej 8 możemy wyczytać nie tylko u Koźmiewskiego, ale także na przykład w wierszu Tuwima pt. „Poeto”:

Poeto! u strażaków wypożycz drabinę,
Przystaw ją, gdzie należy
(Złota 8... wiesz),
Wejźdź nocą — i za szybą
milczkiem zęby szczerz;
Zauważ, jaką będzie miał
Grydzewski minę.

Ten adres zresztą nie byłby ważny, gdyby nie to, że redakcja „Wiadomości Literackich” miała ten sam adres, to było właśnie prywatne mieszkanie Mieczysława Grydzewskiego. A więc jeszcze jedna różnica czasów. Dzisiejsze piękne i świetnie wyposażone lokale redakcyjne — i tamto prywatne mieszkanie redaktorów i wydawcy w jednej osobie.

O Grydzewskim napisał bardzo interesujący szkic Aleksander Janta-Pończyński w tomie „Lustra i reflektory”. O Grydzewskim można wyczytać wiele w licznych opracowaniach Janusza Stradeckiego dotyczących Skamandrytów. Tytuł mojego felietonu brzmił jednak „Grydzewski w Londynie”.

Nie bez ironii kończy swój list Witold Borowy słowami, że Witold Krzemiński jest zakochany w swej młodości. Autor listu nie wie przecież nic o mojej młodości. Nie była ona mlekiem i miodem płynąca, ale to fakt, że są w niej rzeczy, które kocham, ale są także takie, których wspomnienia nie noszę. Być może, że tych pierwszych jest więcej, nie wątpię, że Witold Borowy powie to samo kiedyś o swej własnej młodości.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Spojrzenie znad szachownicy

Potyczki na celnej granicy

Na krótko, bo na krótko, ale jakiś czas temu wiadomości o potyczkach na celnej granicy wdarły się na pierwsze strony gazet, zajmując równie poczesne miejsce w dziennikach radiowych i telewizyjnych, a nawet na konferencji prasowej ministra Urbana. Czytelnik rzadko się nad tym zastanawia, strony gazet mają wszak swoją rangę i to, co ukazuje się na pierwszej jest — a przynajmniej powinno być — bardziej znaczące od tego, co ukazuje się na drugiej, a to, co u góry, uchodzi za ważniejsze od tego, co na dole, zresztą zupełnie tak samo jak w życiu.

Otóż wiadomość o starciach z jugosłowiańskimi celnikami pobierającymi ponoc opłaty w dolarach od każdego polskiego turysty „jak leci”, większość gazet zamieściła na drugiej, a tylko niektóre gdzieś tak w połowie pierwszej strony. Bracia Węgrzy domagający się również dolarowej kaucji za przewożony tranzytem ekwipunek zostali już jednak potraktowani godnie i z reguły trafiali na stronę pierwszą, co znaczyło, że sprawa robi się poważna.

Temat podjął minister Urban, następnie do kontraktatu ruszyła Polska Agencja Prasowa, która w serwisie z 24 lipca nadała ochoczo wykorzystany przez większość gazet materiał o zagranicznych „handlowcach” na turystycznych szlakach, z którego przypomnę jeden znamieny akapit.

„Węgry, Jugosłowianie i Czechosłowacy „okupują” Wisłę, Szczyrk, Ustron i graniczny Cieszyń, gdzie na bazarach oferują po zawyżonych cenach

kawę, kakao, czekoladę i... wzięzione waluty. Za koronę zdejdują podobno 30 zł, fortuny oferowane są po 18—20, dolary sięgają 1000 zł”.

Równocześnie prasa prędko drukowała komunikat węgierskiej agencji MTI o czasowym wycofaniu się z pobierania kaucji, wcześniej zaś strona jugosłowiańska zdecydowanie oświadczyła, że przypadki żądania przez celników opłat w dolarach były — delikatnie mówiąc — sprzeczne z przepisami, lawina już jednak ruszyła. „Trybuna Ludu” w sobotnio-niedzielnym wydaniu z 25 lipca nader szczegółowo przedstawiła na przykład handlowe wycieczki węgierskich (oferta: kawa, olej słonecznikowy, cytrusy, różności) i jugosłowiańskich (marki, finery) turystów w podwawelskim grodzie, które zakończyły się najazdem na sklepy, bo czym niby miały się zakończyć?!

No i tak właśnie wylała się zupa, którą wstydliwie chowaliśmy pod koldrą. Przez całe lata nasza prasa z masochistyczną wprost przyjemnością smagała i demaskowała wylacznie rodzimych pseudoturystów, którzy miast napawać się widokami i obcować ze sztuką, handlowali czym popadnie. Była to oczywiście prawda, jednak nie cała prawda, jako że dokładnie to samo robili nasi goście, nado istniały też pewne okoliczności łagodzące.

Po pierwsze — nie wszyscy handlowali, ja na przykład nie handlowałem, a to z głupoty i braku umiejętności. Po drugie — znaczna część wyjeżdżających handlowała umiarkowanie, co — mówiąc między nami — jest międzynarodową normą. Po trzecie — aby móc ponapawać się Neapolem albo Wenecją trzeba — przy czarnorynkowym kursie dolara — albo we Włoszech coś sprzedać, albo wcześniej w Polsce coś ukraść, nie wiem doprawdy, co gorsze.

My jednak robiliśmy takie larum, widząc — rzecz zastanawiającą — jedynie własne grzechy, że jeden z drugim attaché prasowy, który niejako z obowiązku kolekcjonuje gazetowe wycinki, chcąc nie chcąc musiał się zastanowić. Jeżeli przypadkiem był to Tu-rek, usmiechnął się taki pod wasem i co najwyżej zawiadomił redaktorów, że niewierni znad Wisły znów wybierają się nad Bosfor, chcąc kupić dużo byle czego, tylko żeby to było blizczaj. A turecy sklepikarze — nie bacząc na historyczne ważne i bijatyki — nie tylko sprzedawali nam wszystko wedle gustu, ale w dodatku wkuwali słówka z polskiego, żeby handel szedł lepiej.

Inaczej w krajach o bardziej rozchwianym rynku i mniej wymiennej walucie. Tu z sygnałów służb dyplomatycznych opartych na wysocy wiarygodnej, bo naszej polskiej czyli tubylczej prasie wynikało niezbicie, że podczas najazdów lubimy wylacznie sprzedawać, kupować i grabić, a jeżeli nie bierzemy w jasyr to dlatego tylko, że żywy towar wychodzi trochę drogo na komorze celnej. O swoich ziomkach tenże attaché z polskiej gazet nie dowiadywał się natomiast niczego, a przynajmniej niczego złego, tacy byliśmy bowiem przymilni i gościnnie ulizani.

No i w wyniku zespolonych starań wyszło jak wyszło, mało jakoś sympatycznie.

Byli mistrz świata Anatolij Karpow w swojej książce „A jutro znów do boju” wspomina, że przed laty rząd Wenezueli nie wiedział czemu uznali szachy za grę hazardową i ich wózw obłożył wysoką opłatą celną. Cło płacono jednak od wagi, nie od kompletu, w rezultacie — dopóki przepis ów istniał — można było wenezuelskich celników bez trudu oszukać, zamiast dużego i ciężkiego kompletu wwozić dużo lekkich i malutkich.

I tym umiarkowanie optymistycznym akcentem pozwa-lam sobie rzecz zakończyć, choć akurat na szachach Węgrzy, a zwłaszcza Jugosłowianie znają się aktualnie lepiej niż Polacy.

JERZY P.

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

7

Przedwojenna fama głosiła, że miastem najgłupszych na świecie Żydów jest nasz Chełm. Na poparcie tej tezy kursowało mnóstwo anegdot.

W chełmskim kahale ktoś doszedł do wniosku, iż całą okolicę szpeci podmiejski pagórek, zaapelowano zatem do członków gminy, żeby go przesunęli jak najdalej od miasta. Zebrano się kilkuset ochotników i dawaj — popychać z wszystkich sił! A że upał doskwierał, zrzucili z siebie płaszcze i marynarki na kupę. Podparzyli to miejscowi złodzieje i unieśli całą garderobę. Inicjator przedsięwzięcia odwrócił się w pewnej chwili i triumfalnie obwieścił:

— Sy git, chęwajrim! Odepchnęliśmy pagórek o ładny kawałek. Spójrzcie, już nie widać naszych ubrań!

Jeśli idzie o mnie, mam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście palmę pierwszeństwa za głupotę przyznano właściwie. Moimi kandydatami są raczej współplemięcy chełmian z Buchary, zwłaszcza jeden, z którym los mnie zetknął. I biję się pokornie w pierś — bezczelnie wykorzystałem tę jego ułomność...

Na linii kolejowej przebiegającej przez Machaczkałę stał larioł z pieczywem. Sprzedawcą w owym kiosku był Żyd z Buchary, która również cieszy się podobną sławą co nasz Chełm. Postronne osoby nie mogły korzystać z tego punktu dystrybucyjnego. Przeznaczony był wyłącznie na potrzeby żołnierzy jadących tą trasą na front. Gdy pociąg zatrzymał się na stacji, mogli oni bez karteek, w dowolnych ilościach, kupować nieosiągalne w normalnej sprzedaży białe pieczywo.

— Coś mi się widzi — powiedziałem do swojej gromadki — że dzisiaj na kolację zjemy biały chleb — z pszennej maki, jak u mamy przed wojną!

Podsiedziałem do kiosku i zagadnąłem sprzedawcę:

— Amchu?
— Amchu — potwierdził, a że znał również odpowiednik tego słowa w jidysz, wycelował we mnie palec.

— A Jid? (Żyd?)
— A Jid — przytaknąłem. — Z Polski...

— Co tu robi Żyd z Polski?

Rozejrzałem się dookoła konspiracyjnie, przyłożyłem palec do ust i szepnąłem:

— Tsss. Jestem polskim generałem...

— A Jid polski generał... — cmoknął z podziwu. — A gdzie twoja armia?

Wskazałem na stłoczoną gromadkę sucharów.

— Formuje się. To pododdział, przyprowadzili ich na ćwiczenia.

Kazałem chłopcom wziąć na ramie przygotowane kiję i strzelbom wrzaskiem:

— Na moją komendę — biegiem marsz! Obiegi dwa razy kiosk dookoła, stanęli na baczność i znowu biegiem marsz.

— Rozenkranc, padnij!

— Dlaczego coś ja? Ja mam wątrobę, niech padnie Popiel, on jest młodszy.

— Padnij, bo zamiast białego chleba dostaniesz...

Po kwadransie ćwiczeń kioskarszy przywołał mnie skinieniem głowy.

— Czemu chcesz polskiej gienierat?

— Daj nam białego pieczywa, po dwa bochenki dla każdego.

Bez szemrania spełnił polecenie. Nazajutrz zjawiliśmy się w komplecie z workami. Uginając się pod ich ciężarem, wróciliśmy do ewakopunktu, sprzedawczy część tasunku po drodze. Ale trzeciego dnia kioskarszy z Buchary widać skapował się, że coś tu nie jest tak, bo zażądał okazania legitymacji oficerskiej. Więc może zbyt pochopnie pozbawiłem ziomków z Chełma palmy pierwszeństwa?

Wypadki po białe pieczywo stanowiły drobny epizod w naszym zawodzie nosiśleków. Nadal obsługiwaliśmy pasażerów przybywających do Machaczkały z odległych zakątków Rosji.

Gdy przy pomocy kolegi ładowałem sobie na plecy dwie walizy, usłyszałem za sobą:

— Przepraszam, czy pan Adaś z Łodzi?

Z wrażenia ładunek o mało nie wyśladował na betonie peronu.

— Tak... to ja...

— Pan mnie nie zna, chodziłam w Łodzi do gimnazjum Hochsteimowej na rogu Wólczanńskiej i Zielonej. Pamiętam pańskie siostry...

Tak poznałem Ludmiłę, z którą spędziłem dziesięć lat życia, moją przyszłą żonę i matkę dwojga naszych dzieci. Przyjechała tu razem z wujkiem i jego żoną.

— Chcemy się udać dalej, do Azji Środkowej. W Machaczkałę też może być gorąco. Niemcy ostrzą sobie apetyt na Baku, zagroże naitowe, to niedaleko stąd. A co pan zamierza?

— Sam jeszcze nie wiem. Na razie tutaj zapuściłem korzenie. Pracuję jako... — spuściłem wstydliwie głowę. — Przed wojną robiłem coś innego...

— Wiem, pracował pan w „Expressie”. A Maniusie Fiszman pan pamięta? Miała takie słizne warokce...

— Oczywiście! I Rutę Klasner, Dolkę Szenwald... Pani do ewakopunktu?

— Tak. Proszę, państwo się poznają. Masja, moja ciocia, Grisza, mój wujek.

Po drodze, w krótkich, urwanych słowach przypomniałem sobie wspólnych kolegów, koleżanki ze szkoły, sklepy, ulice...

Ludmiła opuściła Łódź zaraz po wkroczeniu Niemców, pojechała do Odessy, do swojej rodziny, dostała paszport radziecki, ale z paragrafem, nie wolno jej było, jak mnie, zamieszkać w miastach wojewódzkich, zaprzeczonych znowu itd.

— Chcemy przedostać się przez Morze Kaspijskie do Tadżykistanu, nad afgańską granicę. Może pan się z nami zabierze?

— Wątpię czy na moje udostowierzenie sprzedadzą mi bilet na statek.

— Zobaczymy, może coś się da załatwić.

Perspektywa eskapady do Tadżykistanu nęciła mnie. Kraj graniczny z Afganistanem, Chinami,

Kirgizją, Egiptem, o jakiej często marzyłem. No i tak daleko Niemcy chyba się nie zapuszczają...

Nazajutrz, nieoczekiwanie, wyładowałem na dziedzińcu miejscowych koszar. Wszyscy Polacy w wieku poborowym zostali tu doprowadzeni, miała przecież powstać na terytorium Związku Radzieckiego armia polska, każdy powinien więc stanąć przed komisją lekarską. Jak inne, podobne akcje w owym czasie, i ta miała charakter penitencjarny — dziedzińca nie wolno było opuścić bez dokumentu komisji — co deprymowało na nas wpłynęło. Mieliśmy świeżo w pamięci Rybicki Hydrouzieli...

Dziedzińcem okolony był potem o wysokich sztachetach. Na ulicy gromadziły się grupki ciekawskich. Ujrzałem wśród nich Ludmiłę. Wiedziała co się stało, przyniosła mi coś do jedzenia. Porozmawialiśmy chwilę, po czym poprosiłem kolegę, żeby mnie podsadził i kmyrniałem na drugą stronę. Nie pali się, na komisję zgłoszę się w innym mieście, i tak mam kategorię „D”!

Wujek Ludmiły bez trudu dostał trzy bilety na statek do Krasnowodzka, portu z drugiej strony morza. Mnie odprawiono z kwitkiem. Nie przejąłem się tym zbyt, wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę. Nie ma beznadziejnych sytuacji, jak mawiał pewien impotent, z każdej można się wyliźnąć.

Ułożyłem sobie plan dostania się na statek bez biletu. Masja, Ludmiła i Grisza przejdą na pokład, przecekam kilka chwil, Grisza będzie trzymał w pogotowiu jeden z ich biletów, pobiegnę za nimi, wezmę bilet i okażę milicjantom kontrolującym razem z marynarzami pasażerów, a jak się przedostanę przez kordon, to już moja głowa.

Indzibio, aka!

Zobaczywszy Ludmiłę, Masję i Griszę na tropie, podniosłem wrzask:

— Karaul! Utażczili moi dokumenty!!

Utrata dokumentów w czasie wojny i to przez młodego mężczyźnę w wieku poborowym to tak, jak cywilna śmierć. Powstało zamieszanie, milicjanci stracili na moment głowę, przepuścili mnie. Z workiem na plecach pobiegłem do Grisy, wyrwałem mu bilet, wróciłem i, okazując dokument podróży przedstawicielom ładu publicznego, zawołałem:

— Wszystko w porządku! Mój towarzysz przez pomyłkę zabrał bilet i udostowierzenie. Pożalsta, prowiertie!

Sprawdzili i — droga wolna! Saplać ze zmęczenia pobrąłem na statek. Grisza pokręcił z uznaniem głową.

— To był numer jak z filmu sensacyjnego. Już cię stąd nie ruszą, ale na wszelki wypadek zaszły się w jakimś zakamarku.

Przycupnąłem za zwojem lin okretowych. Nikt mnie nie niepokoili. Ciągniony przez holownik statek odbił od brzegu i wypłynął na pełne morze.

Nie pamiętam jak długo trwała podróż. Dobre, dwie? I uleciało mi z pamięci czy mieliśmy kajutę, czy też nocowaliśmy pod gołym niebem, na pokładzie. Trzęsło całą drogę niesamowicie. Pasażerowie na wysięgi biegali do burty, karmili ryby czym kto miał w żołądku.

Na mnie kolysanie statku nie sprawiało żadnego wrażenia. W sukurs przyszedł mój uszkodzony bilet. Nie reagował na przechyły, tak samo jak pozostaje obojętny na wypity alkohol. I to jedna z przyczyn mojej abstynencji. Po prostu wódka na mnie nie działa.

Krasnowodzk powitał nas tłumami wcześniej przybyłych pasażerów i... niespodzianka. Ledwo spuśczone trapy, wdarli się na nie ludzie z naczyniami w ręku.

— Dajcie nam słodkiej wody!

Wszystko wyjaśniło się, gdy na dole spróbowałem obmyć ręce pod hydrantem. Mydło nie pienieło się! Słona, morska woda pozbawia je tej właściwości.

To ci dopiero! Jak wytrzymamy bez zwykłej wody? Pragnienie można ugasić, dokoła pełno wózków, sprzedają „Mors”, znakomity napój orzeźwiający z płatków róży, ale w czym się myć, jak wypłukać naczynia po jedzeniu?

Masja, Ludmiła i Grisza zawierzili memu sprytowi i nie zawiedli się. Zdobyłem dwie bakalszki, takie większe manierki, i poszliśmy z Griszą na polowanie. On z wiaderkiem czekał na ulicy, ja odwiedzałem różne przedsiębiorstwa, mówiłem, że szukam pracy, a gdy zostawałem sam w pokoju czy na korytarzu, odkreślałem kurki stojących tam pojemników ze słodką wodą, napełniałem bakalszki, zawartość wlewałem do trzymanego przez Griszę wiaderka, po czym łup zanosiliśmy paniom.

Pragnąc uniknąć nieprzyjemności w dalszych etapach wędrówki, zgłosiłem się na ochotnika do Wojenkomatu. Stanąłem przed komisją. Wydano mi dokument stwierdzający, że nadaję się do pospolitego ruszenia bez broni.

— Jaki jest wasz zawód?

— Szofer — odparłem bez zająknięcia.

Na ulicy przeczytałem, że zakwalifikowano mnie jako szofera-aktorystę! No cóż, widać jest tu duży popyt na traktorzystów.

— Jutro chcemy jechać dalej — powiedział

Grisza. — Bezpośredniego połączenia ze Stalinabadem nie ma, czeka nas przesiadka w Taszkencie. My na moją komandirówkę dostanemy bilety, ale co będzie z tobą? Nie chcielibyśmy się rozstawać... Ludzie tygodniami oblegają kasy na dworcu...

Nieraz zadając sobie pytanie jak mi się udało wówczas wychodzić obronną ręką z tych wszystkich tarapatów. Niewątpliwie pomagał tupej graniczący z bezczelnością. Ale i na pomyślach nie zbywało. Właśnie nowy koncept strzelił mi do łepoty.

Wróciłem do Wojenkomatu, gdzie kilka godzin temu poddałem się oględzinom lekarskim, i w swym stroju obozowym wtargnąłem do pokoju komendanta, był chyba w randze pułkownika.

— Jestem polskim obywatelem, objętym amnestią na podstawie... — wyrecytowałem bezbiednie treść mego udostowierzenia.

— W czym mogą być poizerzy?

— Chcę się dostać do Tadżykistanu, tam pojechało sporo naszych. Łatwiej mi będzie urządzić się wśród nich, przeżyć razem lata wojny...

— Nie widzę przeszkód.

— Tak, ale jak się docisnąć do kasy kolejowej? Mówię narodowi, a ja nie mogę dłużej tu zostać, pieniądze mi się kończą. Sami rozumiecie, towarzyszu, proszę o jakies pisemko, żeby mi od ręki, bez kolejki, sprzedali bilet...

Wojenkom, komendant wojskowy miasta Krasnowodzk, wypisał mi zaświadczenie, upoważniające do bezpłatnego przejazdu do Stalinabadu (dziś Duszanbe), przyłożył okrągłą pieczęć, życzył szybkiego dotarcia do swoich i polecił zapoznać mnie w wiktualii na drodze.

— I tak znowu doszłusowałem do obu pań i Grisy.

O Taszkencie, najbliższej naszej stacji prze-

objął mnie w pasie, opierając swój korpus na moim prawym, potem na lewym barku, cofnął się o krok i schyliwszy kornie głowę potarł kilkakrotnie podbródek, następnie przyłożył sobie rękę do serca.

— Sam Allah cię zesłał. Właśnie w najgorętszym okresie robót polnych stanął traktor. Nasz traktorzysta na biuletanie, choruje, nie ma go kim zastąpić i doprowadzić maszynę do porządku!

Ładna historia, jak wybrnę z tej kabały? Postanowiłem grać na zwłokę.

— Najpierw musimy wypocząć. Przebyliśmy bardzo daleką drogę. A o traktorze później porozmawiamy...

Ulokował nas w jednym z nielicznych domków drewnianych, z kuchnią, kominiem na dachu, oszklonymi oknami. Członkowie kolchozu, pobratymcy przewodniczącego, mieszkali przeważnie w prymitywnych lepiankach o glinianych podłogach. W otworach okiennych zamiast szyb przeciągnięte były przezroczyste pęcherze zwierzęce, a zamiast kominów — okrągłe otwory w dachu, przez które wydobywał się dym.

— Zjeść u mnie posiłek — zaprosił nas do swego sąraju.

Rozsiadliśmy się w kukli na pokrytej słomianymi matami podłodze. Mardżion, żona gospodarza, przyniosła depioszki, wspaniałe smakowite placki pieczone domowym przemysłem, postawiła przed nami wielką misę z pilawem — i znikła.

Zadanych nakryć, łyżek, talerzy. Jak się zabrać do jedzenia?

Gospodarz wybałił nas z kłopotu. Zanurzył rękę w misce, nabrał spracowaną dłoń garść ryżu, włożył w usta i uczynił zapraszający gest.

— Kuszajcie, pożałsta, kuszajcie!

Piław to ryż z kawałkami baraniny, smażony w oliwie, przyprawiony pikantnymi korzeniami. Po zdjęciu potrawy z kuchni trzyma się ją jakiś czas pod koldrą, żeby „doszła”, a cała ta procedura sprawia, że ryż jest tak sypek jak w stanie surowym, każde ziarenko, przesycone tłuszczem, wielkości pęczaku.

No dobrze, ale tak rękami, wprost z michy, wszyscy z jednej? Chwila wahania i poszliśmy za przykładem Tadżyka. Mardżion wniosła pilajki, zdobne porcelanowe miseczki, dżban z kuk-czajem, czyli zieloną herbatą, tradycyjnym napojem, niezawodnym w upalne dni — i znowu się ulotniła, bo kobiety nie mogą zasiadać przy wspólnym „stole” z mężczyznami, zwłaszcza obcymi.

Nazajutrz poszedłem przyjrzeć się z bliska stojącemu samotnie w polu traktorowi. Sam jego widok mógł przyprowadzić o drzenie tydek. Był to „Staliniec”, na gasienicach, potworny, olbrzymi jak smok. Z przodu miał koło zamachowe z okrągłymi otworami. Żeby zapuścić silnik, należało w jeden z tych otworów wsadzić dźwig i szarpnąć z całej siły do dołu. Brr!

Kręcący się w pobliżu czabań, pastuch, owiec, uświadomił mi, że przy późniejszym zaplonie koło zamachowe daje raptownie do tyłu i kiedyś wyrzuciona zdłża przebiła na wylot pasącą się krowę. Na pewno drań przesadził, ale wystarczyło, żeby dusza uciekła mi w pięty.

Gdy tak krążyłem w bezpiecznej odległości dokoła potwora, podeszło kilku chłopców, uczniów pobliskiego FZU (Fabryczko-zawodskoje uczeliszczko), sposobiącego do zawodu kierowców i traktorzystów.

Wybrałem najmniejszego.

— Chociesz zarabotać dziesiątku?

— Choczu.

— To zapuść silnik!

Chłopak pogmerał w maszynę, wyjął monetę dwudziestokopiejkową, potarł nią magneto, wskoczył na siodełko, coś tam nacisnął — silnik zaskoczył!

— Sadietis, diadia, wsio w poriadku.

Odgłos warczącego traktora zwabił przewodniczącego i kilku kolchozników.

— Molodiec! — zawołał gospodarz. Opuścił brony i przekrzykując szum silnika polecił mi przejechać wzdłuż bruzd. — Pachaj, aka, pachaj! Dokoła!

Kierować umiałem. Objechałem kilka razy płątaninę bruzd, wreszcie przewodniczący dał znak ręką: chwatił!

Ba, ale jak zatrzymać tego smoka?

— Chwacił! — wołał, biegnąc za traktorem i zalamując dlonie. — Złaził Sisyfysz? Złaził!

Dobrze powiedział, tylko ja zapominałem spytać owego chłopca co należy nacisnąć, za co pociągnąć, żeby osadzić w miejscu to bydlę.

I byłbym nie wiem jak długo krążył po polu, ryjąc się coraz głębiej, ale skończył się zapas ligroiny w baku, silnik zrobił pyk, pyki traktor stanął.

Co było potem, lepiej nie mówić. Przewodniczący kazał nam mięgiem wynosić się. Nawet nie zapamiętałem jak po tadżycku brzmi „Zegnaj bracie!”. W uszach brzmiało mi przyjazne, powitalne „Indzibio, aka”...

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

U stóp Pamiru

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

U stóp Pamiru

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

U stóp Pamiru

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

U stóp Pamiru

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.